

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II

Katowice — Wrocław, 7 kwietnia 1946 r.

Nr. 8 (19)

Wilhelm Szewczyk

NANKER



Walka¹⁾ o polskość Wrocławia przemijała. Przemijała z każdym dniem, który Nankera wyprowadzał na coraz bliższą ścieżkę ku śmierci.

Jesień 1340 roku była tak samo słoneczna w Nysie jak i we Wrocławiu. Nanker przybył do Nysy, ale z Wrocławia miał codziennie dokładne wiadomości. Cztery konie padły w pierwszych dniach października od tej gonitwy między Nysą a Wrocławiem. Dwakroć słudzy Nankera wrócili piechotą i nago, obrabowani z odzieży, pieniędzy i listów tuż u Piaskowej Bramy we Wrocławiu. Ej, były to czasy; niespokojne, zwichrzone, trudne. Legatów papieskich nawet obdzierano z aksamitów, królówi samemu nie przepuściliby rozbójnicy niemieccy, gdyby nie błysk otaczających go mieczów. Wierny kanonik Apeczko, z nigdy nie czesany włosom, bosy w najchłodniejszy październik — odwiedzał często Nankera w jego nyskiej samotni. Scholastyk był fanatykiem polskość, o ile o takim typie Polaka w wieku XIV mówić można. Z pewnością imponowało to Nankero, z pewnością podobało się to temu, który tu we Wrocławiu nauczył się nienawiści. Apeczko przyjeżdżał na szkapienie, ofiarowanej mu przez Nankera wówczas, kiedy w piątek poszli wyklinać Luksemburczyka. Ściemniało się już w niskich korytarzach klasztoru Św. Jakóba, drzemali oparci na włóczniach żołnierze, śmiało się głośno król w dusznej celi obok refektarza. Nanker niechętnie wspominał te chwile, tyle już w międzyczasie klątw i interdyktów wygrzmiał. Za to Apeczko nosił w sobie tamto wspomnienie jak nosi się pogłos bitwy, stoczony zacięcie choć krótko.

Scholastyk po porannych mszach świętych zjawiał się zwykle w Nysie. Zakurzony, przebrany w strzępiasty habit franciszkański, niewyspany i głodny — krzyżem się kładł wśród tegich wysokich kolumn u Jakóba, dopóki go stamtąd słudzy biskupa nie wyzwali. Apeczko podzwaniał nowinami, których lepiej na piśmie nie stać. Biskup surowy i szorstki łamał suche palce słuchając nowin. Nowiny były złe, słowa zamieniały się w szerszenie, cała izba szumiała i bzyczała wrogo.

Zarówno rajcowie miejscy jak i niemiecka część kapituły nie pańiętają o Nankerowej klątwie. Król czeski śle co-pochwila gońców z listami do rajców, zagrzewając ich do dalszego oporu. Jego wrocławski bankier, Gisco de Reste, zaprasza ich na wystawne uczyty, które potem Rada Miejska musi spłacać jako specjalny haracz dla króla. Nic dziwnego też, że kanonicy niemieccy z kapituły, równie gorliwi goście bankiera, piszą Nankeroi impertynenckie listy, krnąbrne i bezczelne, nakazujące gdzie trzeba słuchać, schlebające gdzie należy bić się w pierś. Przywozi je także czasem oficjał Apeczko, czyta je potem Nankeroi, któremu gniew wyciska łzy z siedemdziesięcioletnich oczu.

Interdykt nakazał zamknąć kościoły, siwy kurz sypał się na ołtarze. Interdyktu przestrzegali księża polscy, kanonicy z polską krwią i wiarą. Odmawiali codziennie swoje modlitwy, ale strzegli bram kościołów, by ich nie bezczęścili wyklęci patrycjusz, fałszywi żebracy. Sporo księży przywędrowało za Nankero do Nysy, gdzie już nie trzeba było kryć się z polskim słowem; tutaj nawet niemieccy mie-

szczenie chętnie uczyli się po polsku, a potem często, zakupiwszy ciężkie wozy pełne towaru i uzbrowiwszy służebników, wyruszyli na wschód, osiedlając się w Krakowie, Sandomierzu czy Lublinie. Tak zrobili Dorfelowie, Hainowie i Spigelowie.

Interdykt, klątwa wszechobecna, zwisała na kształt gradowej chmury nad Wrocławiem, ale wszyscy od najędźniejszego żaka wiedzieli, że żaden grad z tej chmury nie spadnie. Powiedział to sam Luksemburczyk, z nim powtarzali napuszeni rajcowie a potem na placu targowym wyśpiewywali kuglarze, za co im przychodzący tu chętnie niemieccy oficjaliści i signatory jakimi taki pieniążek rzucali. Drwiono z polskiego biskupa, aż się polscy chłopcy spod Oleśnicy i z nad bystrookiej Bystrzycy ze strachu zegnali, czym prędzej uchodząc z miasta. Bawiono się, głoszone przepowiednie o śmierci króla polskiego. — ładacznie, co z dalekich Niemiec przyszły, zaklinały się, że widziały we śnie papieża u boku diabła, że Nankerowym interdyktem święty Piotr rzyć sobie wyciera. Nigdy jeszcze tyle nie nagrzeszono we Wrocławiu przeciw Bogu i kościołowi jak w owym gorącym roku 1340. Nigdy tyle nie nabłuzniono tu przeciw Polsce i Polakom, jak w owym roku ostatniej próby, po której na lat sześćset zostanie we Wrocławiu błękitny wonny dym po powalonej ale wciąż na nowo podpalanej polskości.

W pierwszej połowie XIV wieku piętnastu polskich kanoników zasiadało w kapitule na 4 nieśląskich Niemców, 10 Włochów i 15 Ślązaków. Którzy ze Ślązaków stanęli otwarcie po polskiej stronie, nie podając zapiski, ale że bywało ich zawsze wielu o tym świadczy przegłosowywanie Niemców na posiedzeniach kapituły. Jeszcze na początku wieku XV 8,7 procent kapituły stanowią księża polscy, odważnie przyznający się do tego i broniący języka polskiego w kościele i szkole katedralnej. 28. 6. 1498 r. biskup Jan IV Roth, nie pierwszy zresztą hakatysta, wydał za zgodą kapituły zakaz zasiadania w niej kanoników Polaków. Pomimo to w wieku XVI naliczył się jeszcze niemiecki historyk — G. Zimmermann — 20 polskich kanoników we Wrocławiu.

W każdym razie czasy Nankera przekazują dziejom ostatnie groźne pomruki bitwy o polskość kościoła we Wrocławiu. I nie tylko o polskość kościoła, — o polskość całego miasta, gdzie patrycjusz niemiecki wciąż jeszcze czuje się obco i z tęsknotą spogląda na bramę Mikołajską, która otwiera się na wysoki trakt w głąb Niemiec. Gdyby nie przyjazdy Luksemburczyka, pełne pychy pieśni jego żołądca i opowieści o rzekomych zwycięskich pogromach dokonywanych przezeń na Polakach, którymi od roku 1329 bez ustanku chełpią się gwarni ludzie z otoczenia króla, — ostrzyżymno było by w mieście, samotnie i niespokojnie.

Nanker wzywa kapitułę już nie po raz pierwszy, by przybyła z nim do Nysy. Kanonicy niemieccy zrazu odpowiadają grzecznie ale wymijająco. Któż im koni da, któż żniw dopilnuje, by otrzymać należyte podatki od snopa, z których żyć wypadnie rok cały, któż orszak uzbroi, by bezpiecznie rzeką i lasem pośpieszyć do Nysy. Są i tacy, co — codziennie u królewskiego bankiera goszcząc — na głód się skarżą, pisząc, że im chleba w domu brak, a cóż dopiero myśleć o podróży. Później odpowiedzi są niecierpliwsze, na koniec próżno Nanker prosi i wzywa. Apeczko, spokojny choć fanatyczny, zdaje biskupowi sprawę z wydarzeń w kapitule. Gniew

biskupa burzy się wciąż na nowo, nawet modlitwa nie uciszy burzliwego ascety. Nanker żałuje może czasami, że tak niewielu tylko sprowadził z Krakowa księży polskich. Uwierzył jednak sile i obietnicom papieskim, które miały go gorliwie poprzeć w zmaganiach z Niemcami, z królem, kapitułą i Radą Miejską, ze swarliwymi zawadiakami na tronach książęcych, z tymi wszystkimi, którzy tu nieśli swoje jasno określone cele, przeciwne prawu papieskiemu, przeciwne wolności i prawdzie. Tymczasem na placu targowym pokazywano kukłę papieską, tańczono wokół niej ze śmiechem jak za najlepszych czasów pogańskiej reakcji. A jeśli to nawet ujrzał któryś Niemiec z kapituły, przymykał powieki, pod którymi widział własną urojoną czystość, niewinność i prawość. „Nie wołno im spożywać Ciała Chrystusowego — warczał Nanker, kiedy przychodziły ziele chwile — toną w grzechach, upajając się własnym upadkiem jak pawie upajają się własną barwą“. To była postawa człowieka religijnego i ascety. Ile na tym tracił Nanker-Polak, sam Bóg raczy wiedzieć. Z postawy patrioty rodził się krzyk, ale był to krzyk coraz słabszy, choć uparcie wbrzucał w uszach rozgrywanego niemieckiego się Wrocławia. Przyszedł tu już Nanker starcem. Nie pamiętał już śląskiej młodości, rodzinnej ziemi bytomskiej, nie pamiętał nawet szkolnych lat w Krakowie i Bolonii. Przyszedł tu starcem a w roku 1340 trudno mu już było wkroczyć do Wrocławia młodzieńcem.

Tymczasem we Wrocławiu działały się rzeczy niedobre, od których wzdragały się prawie sumienia. Wymykali się co uczciwsi księża do Nysy, ciągnęli za nimi i kupcy polscy, wędrowni rybaczi nawet. Był to czas, kiedy Nysa gromadziła zasobniejszych kupców niż Wrocław, kiedy na kolistym rynku pod złoconymi i malowanymi frontonami zasiadali kupcy z całej Europy. Ale cóż to wszystko znaczyło wobec coraz mroczniejszych wydarzeń wrocławskich, o których Apeczko, świadomie coraz bardziej skąpo, informował chorego już od wzburzenia Nankera.

(Ciąg dalszy na str. 2-giej)

Perspektywa

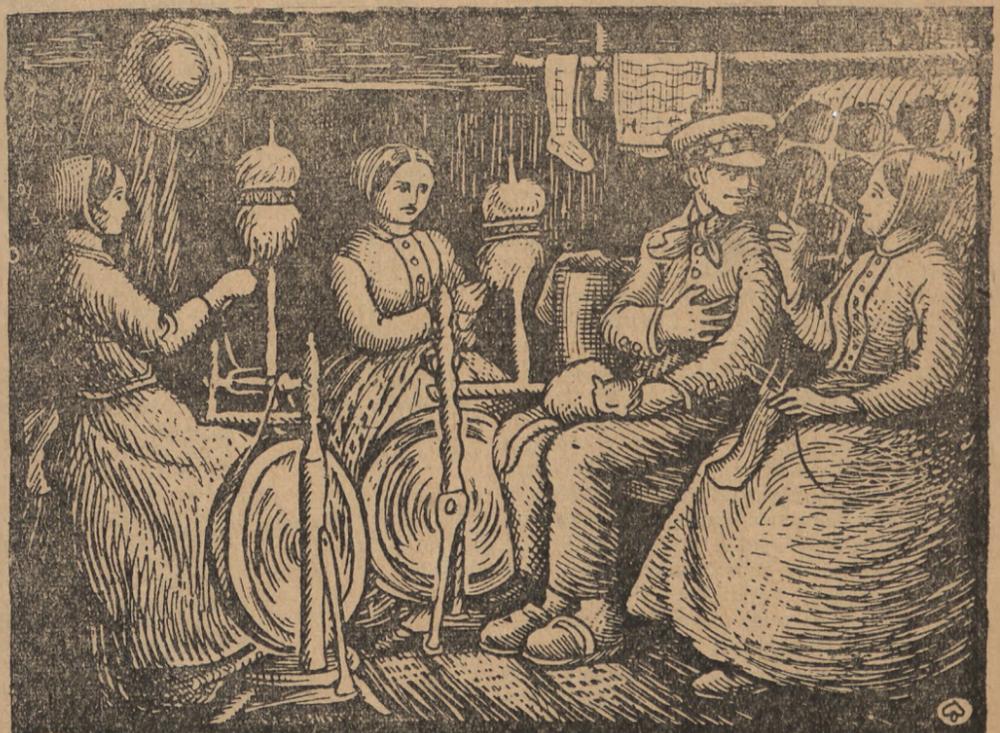
Odry

Od kilku miesięcy działa w Polsce Zachodnia Agencja Prasowa z siedzibą w Poznaniu. Biuletyny jej dostarczają prasie polskiej codziennie wiadomości o życiu polskim na Ziemiach Odzyskanych oraz wiadomości z Niemiec. W połowie marca ZAP zwołała do Poznania Zachodni Kongres Dziennikarski, który zastanawiał się nad najżywoźniejszymi problemami Ziemi Odzyskanych oraz nad rolą prasy w ich ukazywaniu i dyskusowaniu.

Równocześnie wskazano na konieczność, nie po raz pierwszy już zresztą w ostatnich miesiącach, powołania do życia prasy dla autochtonów Ziemi Odzyskanych, którzy rozumieją i odczuwają polskość w nieco węższych formach i granicach od przybyszów.

Zadania prasy w stosunku do Ziemi Odzyskanych oraz prasy na Ziemiach Odzyskanych są jednym z punktów wielkiego polskiego programu kulturalnego dla tych ziem. Nie można ich rozpatrywać zarówno w oderwaniu od zadań innych środków oddziaływania kulturalnego jak i w oderwaniu od ośrodków kulturalnych, powstałych i działających już nad Odrą, na Mazurach czy Warmii. Często się tutaj bowiem zacierają będą między publicystyką dziennikarską a literaturą piękną, zacierają się będą w imię wspólnych celów i dla prostszego typu życia kulturalnego na tych ziemiach. Prasa jest tu już dzisiaj kośćcem powstawania klimatu kulturalnego i budzenia przeżyty kulturalnych. W jej zasięgu dopiero powstaje tu literatura, rozwijają się sztuki.

Zachodni Kongres Dziennikarski uchwalił rezolucję, z których wszystkie są słuszne i potrzebne. Nie podzielimy zatem oburzenia wrocławskiego „Pioniera“ przeciwko rezolucji, domagającej się zawieszenia t. zw. klucza partyjnego na Ziemiach Odzyskanych a w szczególności tam, gdzie żyje jeszcze polska ludność autochtoniczna. Polska władza dla tej ludności jest przeżyciem historycznym jedynym i niepowtarzalnym, toteż uzależnianie jej od politycznych aktualii zamąca obraz Polski, nad którym pracowały tu szlachetne i najbardziej ideowe pokolenia.



Prządki lużyckie. (Drzeworyt Marcina Nowaka)

1) Jest to końcowy fragment przygotowanego do druku dłuższego szkicu o Nankero, ostatnim polskim biskupie Wrocławia (1326—1341).

Na Rybim Targu, krępy ospowaty szewc, co dopiero zamianowany rajcą miejskim, huczał przeciwko papieżowi i księżom, wiernym Nankerowi i jego ustawom. Cóż — wołał — z naszej duszy i rozumu, skoro nie możemy sami za siebie myśleć. Książa? My ich sobie ustanowimy, aby byli z naszej myśli, z naszego rozumu. Nie potrzeba nam księży, co czystość naszego uczucia religijnego zamącą narodowościowymi opiniami (tu uśmiechali się rajcy mile ujęci obłudą). Nie trzeba nam księży Polaków ani polskiego biskupa, co napomina nas do papieskiego denara (aluzja do świętopietrza, gorliwie pilnowanego przez Nankera) i skońcówkich inkwizytorów na spokojny lud się. — U Abrahama Bzoviusa, przecera Dominikanów u św. Wojciecha, więcej jeszcze zapisanych zostało obelg, inwektyw i oszczerstw ospowatego szewca z Rybiego Targu.

Pewnego dnia przybywa do miasta szczupły, swidrzyący brat Marcin z Krasoboru, zbieg z zakonu Cystersów. Na ratuszu rychło się na nim poznają, nie przeszkadza im jego ciężki grzech, owszem — dogadza im to, że był już księdzem, że zna obrządek i potrafi Boga chwalić tym samym obłudnym językiem co oni, językiem Minnesaengerów i rozbójników na świniackim trakcie. Rajcy chcą mieszczaństwu nudzącemu się bez dymu kadzielnic, dać kościół.

Wiernego ekskomunice i Nankerowi księdzę Thammo Owasa wyganiają uzbrojeni wiertelnicy z kościoła Marii Magdaleny. Staną potem po dwóch z obu stron wspaniałego portalu, zdobnego w kamienne wstęgi i bransolety, dopóki nie przyszedł sam starosta grodzki, panosza oczywiście niemiecki, i nie wprowadził do kościoła nowego proboszcza — kacerza Marcina. Głosi stąd teraz występny braciszek kazania. Są takie, które nie podobają się rajcom, bo rozchodzi się w nich o dogmaty z „o dogmaty niepotrzebna walka, trza je bez walki przekraczać“. Więc szumi Marcin: „Obojętne komu się spowiadacie,

uczciwemu lub wykletemu księdzu, myszy polnej, żebrakowi lub śmierdzielowi, co kury z kurników biskupich wykrada“. Śmieją się dyskretnie przed ołtarzem siedzący rajcy. A kiedy indziej słyszą co innego. „Poloni to śmierdzielowy naród, co nawet księdzem będąc smród czyni wśród ludzi uczciwych i mądrych“. Oszczerstwa, bluźnierstwa i obcy zabobon bezczeszczą ołtarz, przy którym ksiądz Thammo Owas, może nawet nie Polak, modlił się o zdrowie Nankera i króla polskiego.

Nankerowi o tym wszystkim donoszą. Apeczko pisze pewnej niedzieli, że aresztowano jego rodziców i bratową. Osadzono ich w brudnej, zalanej nieczystościami celi dla zwykłych złodziei i opryszków. Mają wszakże rajcy niemało szpiegów w Nysie, w samym biskupim pałacu liczą ich na dziesiątki. Donieść musieli rajcom o częstych wizytach scholastyka. A o wiele łatwiej jest osiągnąć bezbronną szaro ubraną rodzinę i zamknąć bez wyroku, niż mądrego w czerwieni chodzącego kanonika.

Ale już też rozpoczyna się proces inkwizycyjny przeciwko staroście grodzkiemu Konradowi Falkenhainowi, rajcom i kacerzowi z kościoła Marii Magdaleny. Kiedy główny inkwizytor Jan Szwenkenfeld przybył po raz pierwszy do Nysy, Nanker leżał w łóżku, złożony krótką złośliwą niemocą. Nie było między nimi rozmowy o Polsce, nie mówili pewnie nawet o papieżu, — ciemny profil Dominikana ledwo drgnął, kiedy Nanker uniósł się na łóżku i rozdygotaną mową począł głośno, po raz pierwszy chyba w życiu, swoją nienawiść. Szwenkenfeld na zakończenie tej rozmowy wyszeptał jedynie parę słów. Uczynił to tak cicho, że stary biskup musiał wychylić się z łóżka, by zrozumieć. „Tak musi być na Śląsku, jako tu wy chcecie. To jest nie tylko papieska ale i boska polityka. A że ten wasz porządek nazywa się polski, to tym lepiej“.

Nazajutrz Szwenkenfeld w białym - czarnym habitie, zakurzony z drogi i przemo-

czony od rosy, stanął na Rybim Targu i począł głośno papieskie i biskupie prawdy. Z pewnością mówił o Polakach i Polsce też, bo ówczesne zapiski niemieckie mówią o nim jako o „wrogu Niemców, co patrzy na Wschód“. Zawezwał rajców przed swój inkwizytorski trybunał. Nie pojawili się. Poszedł wobec tego sam na ratusz, ale i tam nic nie wskórał a za wychodzącym ciepano obelgami i czynili to nie tylko rajcy ale i „sługi oraz córki ich, co po schodach stały i sień ratuszową chichotem napełniały“.

Później, pod koniec roku, rajcy łamią się i posyłają gońców równocześnie do Nankera i Szwenkenfelda z propozycjami ugody trwałej i przyjaznej. To nie przeszkodziło im jednak w rok później nastąpić do Szwenkenfelda dwóch zbirów, którzy za trzydzieści marek srebrnych, wypłaconych im przez rajców wrocławskich Merkelina, Schertilzana i Hellenbolda, zabili go w konfesjonale trzema pchnięciami sztyltem. Nawet w mordowaniu pamiętali Niemcy, co zabijają: ciosy trafiły w oczy, usta i serce. Jakież to symboliczne.

W międzyczasie walka bynajmniej nie była rozstrzygnięta. Król Jan Luksemburski trochę się uspokoił — ostatecznie biskupiego Milicza w gęstych bagnach i szuwarach nad granicą polską Nankerowi nie zwrócił. Z jego polecenia poczeli się zjeżdżać do Nysy rajcowie, próbowali paktować z biskupem przez oddanych mu polskich kanoników. Ale z Wrocławia większość Polaków przeniosła się już była do Nysy, skupiona wokół biskupa jak wokół wysokiej dzwonnicy, z której co pewien czas odzywał się brzęk dzwonu, karzącego bezbożnych i szowinistów, wspominającego sprawiedliwość i prawo a prawo było tu nie tylko kościelne ale i polskie. Nanker w ucziwości swej szedł tak daleko, że w walce nie kierował się tymi motywami politycznymi, czego nie można było przewidzieć o jego przeciwnikach a zwłaszcza o Luksemburczyku, ambitnym, wolnomyślnym i awanturniczym. Lubił się Nan-

ker natomiast otaczać przyjaciółmi z Krakowa, upierał się — znów wybuchając raz po raz — przy języku polskim w szkole i kościele, pomagał polskim księżom ze Śląska, a karcił surowo niemieckich. Miał zresztą za co.

Z jego śmiercią zawała się wysokopien- na epoka, otwarta ku niebu, ale budowana na polskich barkach. Zostanie o nim pamięć u Niemców dłuższa niż u Polaków. (Mniej więcej tak samo, jak będzie później z Korfantym). Powiedzą i napiszą o nim Niemcy później „der wahnsinnige Pole“. Rozkrzyczą na cały świat: Z Nankerem skończył się spór o Wrocław a zaczął się w nim niemiecki żywot. Obstawiają jego po- gnać kłamliwymi i nienawidzącymi księ- gami.

* * *

W Nysie, w której umarł 8 kwietnia roku 1341, kiełbiły się rok temu kudłate złote ognie. Pożarły niejedną uliczkę, obaliły niejedną dom. Cóż tu pozostało po Nankerze, Polaku? Co pozostało po nim we Wrocławiu, Polaku? Myślę, że wiele, bardzo wiele. Myślę — a nie przeceniam jego znaczenia i żywota — że wszystko to, co budujemy tam dziś oparci o przeszłość.

Nanker boso w zimny kwietniowy Wielki Piątek po procesji, zziębnięty i siny położył się do łóżka, nad którym rozchylił się wyniosły, szary romański portal. Tu umarł. Szkoła, że nie wiem jak umarł Apeczko. Nie powiedziały mi o tym księgi ani kroniki. Pozwólcie mi zatem, bym mu wymyślił śmierć poctycką, wzniesłą: niech umiera przy ołtarzu, wznoszący podczas podniesienia zamiast Chleba i Wina, tarczę z białym orłem. Jak Nankera widzę w moich snach, może nawet trochę wbrew historii, prorokiem i sangwini- cznym apologetą, tak w Apeczce chciał- bym się koniecznie dopatrzeć pozy, gestu i kroku młodego chorążego. Takim mi się bowiem zawsze wydawał, kiedy słuchałem jego rozmów z Nankerem.

Zbyszko Bednorz

Rozważania na pustyni

Gdy¹⁾ rozpoczyna się rozważania na temat jakiegokolwiek programu kulturalnego, (por. artykuły Zdzisława Hierowskiego w n-rach „Odry“ 7/45 i 4/46), trzeba to sobie jasno uświadomić, że żaden, choćby najbardziej głęboko opracowany program nie stworzy kultury. Kultura powstaje samorodnie, budują ją instynkty kulturo- twórcze, płynące w człowieku. Jednak i program brać musi. Program, to znaczy ustalenie wytycznych pracy, zmierzającej do stworzenia warunków rozwojowi kultury sprzyjających. Program — to znaczy dalej — ustalenie kierunków i dróg życia kulturalnego, to znaczy wreszcie uświadomienie momentów pilnych i ważnych, wybijających się na czoło w tysiącu spraw mniejszej wagi. Programy mogą istotnie kultury pomóc lub zaszkodzić. Mogą kulturę pobudzić lub zahamować. I jeszcze jedno: każde planowanie w dziedzinie kultury musi się łączyć z planowaniem warunków życia społeczno-gospodarczego. (Stara to prawda i niekoniecznie wynale- ziona przez marksizm).

Na Ziemiach Odzyskanych, które od roku staramy się zagospodarować, to znaczy obsiać, uruchomić przemysł, odbudować wartości materialne, stoimy w obecnej chwili także przed najkapitałniejszym zagadnieniem kulturowym. Dziwne, że do- tąd nie zainteresowały się tymi zagadnieniami czynniki niejako z urzędu do tego powołane, dziwne tym bardziej, że nie widać oznak, by zagadnienia kultury na Ziemiach Odzyskanych zajmowały należne miejsce w pismach kulturze poświęconych. A tymczasem nie było dotąd w dziejach naszego narodu tak kapitalnego zagadnie- nia kulturowego, jakie właśnie dziś staje przed nami na powróconych Ojczyźnie ziemiach nadodrzańskich. Na elementy główne tego zagadnienia składają się między innymi następujące czynniki:

A. Wprowadzenie kilkumilionowej masy społecznej na zupełnie jej obce psy- chicznie i kulturowo ziemie.

B. Różnorodność grup społecznych nie- zżytych i niepowiązanych wzajemnie.

C. Otwarcie naościę bram dla nowych polskich treści kulturalnych ludności miejscowej, która od wieków pozostawała pod wpływami kultury niemieckiej.

D. Zetknięcie się na zachodzie Polski typu kulturowego wschodnio-polskiego z zachodnio-polskim.

Zanim przystąpi ktoś do ułożenia jakiegoś rzetelnego i pełnego programu, wedle którego winno się kierować państwo czy

instytucje do tego powołane, by osiągnąć ów wspaniały cel określony słowami: ży- wa kultura — trzeba niestety już dziś na potrzeby doraźne mieć jakiś schemat, jakieś wytyczne, chociażby sformułowane najogólniej, ażeby nie zostawiać tego problemu w tyle za innymi.

Jest rzeczą jasną i nie wymagającą dłuż- szych wywodów przekonujących fakt, że to właśnie rodzima kultura jest najważ- niejszym wałem obronnym przeciwko si- łom wroga i że też tylko rodzima kultura potrafi się oprzeć skutecznie wszelkim ob- cym na nasz byt niepodległy agresjom.

Starajmy się po krótko zanalizować wy- różnione wyżej — wydaje się nam — główne elementy zagadnienia kulturowe- go Ziemi Odzyskanych, by z analizy tej wy- ciągnąć pewne cenne dla nas wskazania. Ze wskazań tych dopiero można będzie ułożyć tabelę prac, które powinny być podjęte, celem skutecznego pobudzenia sił twórczych dla należytego rozwoju kultury na Ziemiach Odzyskanych.

Skoro podstawą wszelkiego trwałego ży- cia kulturalnego jest człowiek osiadły, człowiek zrośnięty z ziemią, z terenem swej pracy — trudno się dziwić, że na Ziemiach Odzyskanych do tej pory, po za spe- cyficznymi terenami Opolszczyzny i Kaszuby — istnieje pustynia kulturowa. Od niemal roku trwa tu, bez ustanku prowa- dzona akcja osiedleńcza. Miliony ludzi, które osadzamy po wsiach i miastach Po- morza Wschodniego i Nadodrza nie są i nie będą długo jeszcze zdolne do tego, by w pełni żyć życiem normalnym to jest ży- ciem uwzględniającym zarówno potrzeby ciała jak i potrzeby ducha. Oto fakt, z któ- rym trzeba się liczyć. Ponieważ troska o nowy warsztat pracy, o nowy dom, o no- we gospodarstwo rolnie wybija się na czoło spraw, ponieważ kłopoty „co będę jadł i jak sobie dam radę“ — zaprzatają umysły prawie że bez reszty — trzeba się liczyć z tym, że jeśli czynniki odpowiedzialne za rozwój kultury w narodzie nie podejmą akcji, miliony ludzi na zachodzie Polski, nie tylko nie zbudują i nie stworzą nija- kich treści i form życia duchowego, lecz w swym stanie kultury dalej i bardziej jesz- cze się cofną. Jest to zjawisko tym groź- niejsze, że masy repatriantów i osadników przybywają na teren zupełnie im obcy. Osiedlenie ich jest tylko i wciąż jeszcze osiedleniem technicznym. Na terenie ob- cym fizycznie (inna ziemia, krajobraz, no- we aspekty cywilizacyjne) tym większa jest obojętność psychiczna. Co wiedzą o ziemi, na którą przyszli, jaki jest ich stosunek uczuciowy czy myślowy do Ziemi Nad- odrzańskich? Jak tedy mogą bez tych ak- sjomatów psychicznych powstać jakieś



„My Bogusław, Barnim i Warcisław z Bożej łaski książęta pomorscy, szczecińscy, Sławii, Kaszubi i Pomorza oraz książęta Rugii... z panem Kazimierzem wiel- możnym królem Polski, umiłowanym przez nas czystym uczuciem, postanowiliśmy także zawrzeć układ przyjaźni.

...obiecujemy więc wiernie przy nim stawać i pomagać mu radą i pomocą ży- celiwą z 400 dobrymi w helmy uzbrojonymi ludźmi... jako ojcu, przeciw jakiegokol- wiek człowiekowi lub osobie, a szczegól- nie przeciwko Krzyżakom z Zakonu Nie- mieckiego... i że nie pozwolimy przez ziemię i miejscowości podległe naszej władzy przechodzić żadnemu człowiekowi małemu ani wielkiemu, jakiegokolwiek by był godności, religii, kondycji czy stanu, w stronę wspomnianych Krzyżaków a przeciw wzmiankowanemu panu królowi lub jego pomocnikom...“.

(Z dokumentu wydanego z okazji zawarcia w dniu 24. II. 1343 w Poznaniu przymierza między książętami pomorskimi Bogusławem V, Barnimem IV i Warcisławem V a królem pol- skim Kazimierzem Wielkim).

1) Referat wygłoszony na Zachodnim Kongresie Dziennikarzy i Publicystów, obradującym w Poznaniu w dniach 16. i 17. marca.

wartości kultury? Rzecz oczywista, że z czasem życie powiąże tych ludzi z ich nową ojczyzną, ojczyzną zachodnią. Jednak trwać to będzie długo. Czy istnieją jakieś sposoby przyspieszenia tego procesu względnie ułatwienia rozwinięcia się i wykiełkowania odpowiednich dyspozycji kulturotwórczych? Odpowiedź znajdziemy w dalszych wywodach.

Innym elementem, na jaki zwróciliśmy uwagę przy zagadnieniu odbudowy czy budowy życia kulturalnego na Ziemiach Odzyskanych — to zjawisko różnorodności grup społecznych, które występują w tych milionowych rzeszach mieszkańców nowoprzyłączonych do Ojczyzny obszarów. Więc, wydzielając tylko schematycznie, bez silenia się na precyzję ścisłości socjologicznej, widzimy przede wszystkim silne grupy Polaków miejscowych Opolszczyzny, ziemi kaszubskiej i mazurskiej, grupy zrosnięte od wieków z tą piastowską Polską, zrosnięte pracą i krwią, kulturą duchową i materialną. Tkwiąca tu od wieków polskość miała właśnie największe oparcie w rodzimej kulturze mieszkańców tych regionów. Jest to kultura stara o typie ludowym. Tworzyła się w zasadzie samoistnie, w dużej izolacji od ogólnopolskiego nurtu, otoczona morzem niemieczyzny. I tu rodzi się jeszcze jeden problem. Jak tę kulturę, która w swym rodzaju ludowym stoi na poziomie jeszcze kultury gdzieś staropolskiej (może szesnasto- lub siedemnastowiecznym) włączyć w zagadnienia współczesnego życia kulturalnego Polski?

Wśród olbrzymich nowych rzesz ludzkich głównie z terenów wschodniej i środkowej Polski nie widzimy na razie żadnej jednolitej grupy kulturowej, skoncentrowanej w jakimś jednym rejonie Ziemi Odzyskanych. Można raczej powiedzieć, że obecne rzesze repatriantko-osiedleńcze to zupełnie przypadkowe zgrupowania społeczne głównie chłopskie, potem rzemieślnicze i wreszcie mieszczańsko-inteligencyjne. Wszyscy ci ludzie przyszli tu z jakimiś swoimi różnymi tradycjami kulturalnymi, z tradycjami kulturalnymi swych regionów. Nie ujawniły się te własne ich formy i treści kulturalne do tej pory. Co tych ludzi powiąże, kiedy i co spowoduje połączenie się tych różnorodnych form i treści kulturalnych, które reprezentują?

Niebylejakiej wagi element zagadnienia, które tu staramy się postawić stanowi moment zetknięcia się na Ziemiach Odzyskanych dwóch różnych diametralnie typów cywilizacyjnych i dwóch różnych natur Polaka: Polak miejscowy, osiadły tu od wieków posiada obok zdecydowanie wyższego poziomu kultury materialnej, także inne od Polaka przybyłego tu ze wschodnich ziem Polski duchowe pierwiastki kulturotwórcze. Pierwszy będzie budował na ładzie, porządku i spokoju, drugi na niepokoju, fantazji, rozwieżeniu. Pierwszy — na systematycznej, wymierzonej pracy, drugi na pracy improwizowanej, impulsywnej, nie wymierzonej. Chyba to jedyny w dziejach narodu polskiego wypadek, gdy te dwie tak różne natury polskie stykają się na tak olbrzymiej płaszczyźnie. Z tego zetknięcia ma wyjść współżycie. Współżycie także w dziedzinie wytwarzania wspólnych wartości kulturalnych.

Kiedy ogarnia się na tym szerokim tle problemów momenty, które by mogły być uwzględnione przy wypracowaniu schematu prac kulturowych na Ziemiach Odzyskanych — wydaje się nam konieczne ustalić następujące podstawy działań:

1. Obcość psychiczna i kulturowa Ziemi Odzyskanych jaką odczuwają masy repatriantko-osiedleńcze mogła by być usunięta przez systematyczną akcję uświadamiającą — odczytowo-książkową z powołaniem się na **wspólną historyczną całość narodu**. Historia, przeszłość — walka z Niemcami, wspólnota walk wolnościowych, oto momenty, które trzeba podnosić.

2. Nie można naginać i siłą starać się wiązać tradycje kulturalnej elementu napływowego z tradycją kulturalną miejscowych Polaków. Stwarzać raczej atmosferę na rozwój tradycji kulturalnych swoich.

3. Wspólnota religijna, tradycje związane z świętami i okresami kościelnymi i kult do Matki Boskiej — oto momenty na których można i trzeba się oprzeć w budowaniu wspólnoty kulturalnej Ziemi Odzyskanych.

Zarówno mieszkańcy byłej wschodniej Polski, jak i Polacy zachodni — mają wspólny, głęboko zakorzeniony w duszach

swój świat pojęć religijnych, toteż grzeszyłby ciężko, ktoby chciał tę poważną i zasadniczą podstawę ich kultury burzyć przez wprowadzanie na Ziemię Odzyskaną walk światopoglądowych.

4. Akcja zmierzająca do podniesienia poziomu życia materialnego i duchowego w ogólności, więc dobra szkoła wyznaniowa, walka z analfabetyzmem przez odpowiednie kursy dla dorosłych, przyczyni się do zbliżenia elementu napływowego z miejscowym.

John Gould Fletcher

LINCOLN

1.

Był jak wysokopienna rosochata sosna,
która wznosi swą głowę nad smutne szczyty piasków
i rośnie cierpliwie, w ciągu głuchych lat gorzkiego milczenia,
choć nikt nie dba o nią, ani się o nią troszczy

Surowa, pnąca się z trudem w górę i olbrzymia,
ma gałęzie pokręcone od wiatrów północy i sękatę;
lecz podczas upałów w dniu letnie, gdy chmury z grzmotami przecinają horyzont,
w jej cieniu może znaleźć schronienie naród cały.

Ona ich wszystkich osłoni,
każdemu zapewni bezpieczeństwo, czuwając w milczeniu,
aż w końcu jedno uderzenie śniegu i z daleka ze szczytu nieba
w jednej chwili powali ją na ziemię.

2.

Była w człowieku tym jakaś mroczność bezbrzeżna, głucha mroczność,
o której nie można mówić, ani jej z nim dzielić, ni w nią wchodzić,
mroczność, przez którą mocne korzenie przedzierały się
do ziemi, w głąb rzezy z prawieka;

do królów-pasterzy, co chodzili po ziemi i mówili z Bogiem,
do wędrowców, którzy szukali sami nie wiedząc czego, aż w końcu cel znaleźli,
do ludzi, którzy czekali cierpliwie, gdy wszystko zdało się utracone
w przeciągu wielu zim niosących klęskę;

w głąb, do zrębów wytrzymałości
sięgały te korzenie sękatę, pełne gruzów, śledzące, przedzierające się, szukające
i wyciągały z żywych głazów i żywych źródeł w krąg nich
czerwony miąższ, wiedziony wzwym ku słońcu;

nie dumne, lecz pokorne,
gotowe do usług i wytrwania, aż do kresu przez służenie,
bowiem przyłożona jest siekiera do korzeni drzew i wszystko co nie przynosi
[dobrego owocu
będzie wycięte dnia, który przyjdzie i będzie wrzucone do ognia.

3.

Milczenie zaległo dziś kraj zewnątrz
i w sercach ludzi milczenie trwożne i głębokie,
a ponieważ my milczymy, wreszcie te brązowe wargi otwierają się z wolna,
te puste, zmęczone oczy zaczynają błyszczeć światłem.

Zwolna cierpliwy, mocny i wyraźny głos idzie przez bezbrzeżne milczenie
jak woli, które w trudzie ciągną plug przez zeschnięte grudy gliny:
„Szedłem naprzód jak światło, które rusza wczesną wiosną,
lecz wiele jeszcze było spraw, które zostały za mną.

Mogily, które były nieme:
jedna mej matki, której krótkie światło zgasło w mroku,
jedna mej ukochanej, na której grób oddawna śnieg się sypie,
jedna, jedyna dziecka, ale dziecka mojego.

Czy zapomnieliście mych grobów? Idźcie, pytajcie się ich w trwodze,
słuchajcie długo ich warg niemych. Od nich, od nich, poświęconych milczeniu,
dowiedzcie się, że nie ma życia bez śmierci, wschodu słońca bez zachodu,
że nie ma zwycięstwa, wyjąwszy dla tego co sam oddał wszystko.“

4.

Huk działa już zamiera, usta molocho-bitwy zamilkają.
Słońce zimowe zstępuje i zapada, ziemia nabiera nowych, świeżych blasków.
Ale ten, z któregośmy się śmiali i któregośmy nie słuchali, ten, którym gardziliśmy
[i któremu nie dowierzaliśmy,
zstąpił jak bóg w mogile.

Ponad głośny zgłęb miast,
ponad milion zawiłych spraw krzyżujących się i galopujących,
pośród zagadnień, których nie znamy, zawiślanych, zdumiewających, podstępnych,
wznosi się biały samotny grób.

Świećcie nad nim wy, gwiazdy,
spowijajcie go pasma, pasma sztandaru, czerwone z powodu bólu, który za was
[wycierpiał —
spowijaj go na wieki, sztandarze postrzępiony, splamiony, lecz naprawiony
[przez nasz żal;
dopóki zachowacie go w całości, dopóty narody korzyć się będą przed waszym
[prawem.

Sypcie na niego kwiaty:
błękitne niezapominajki z północy, jasno-różowe poziomki ze wschodu,
a z zachodu bujny kwiat pomarańczy,
zaś z głębi kraju węćcie kwiat cierniowy;

promienny, fioletowy, czarny kwiat ciernia,
z gwoździ, które go kłuły, z krzyżem, który dźwigał i z koroną,
a obok półoście także jedną śnieżnobiałą magnolią,
jako gorzkie wspomnienie uźdrowienia, które nastąpiło.

Z angielskiego spolszczył
Stanisław Helsztyński

5. Obok szkoły nie wolno zaniedbywać wartości kulturo-twórczych rodziny. Choćbyśmy otwarli jeszcze tysiąc świetlic i drugi tysiąc domów kultury — kultury nie zbudujemy, gdy będzie chora i zdemoralizowana ta najbardziej podstawowa komórka społeczna — jaką jest rodzina chrześcijańska.

6. Wspólne organizacje młodzieżowe o typie harcerskim i życie społeczne — czynniki również ważne w odbudowie psychicznej Ziemi Odzyskanych.

I wreszcie.

7. Trzeba unikać zbyt daleko idącej schematyzacji i biurokratyzacji w organizowaniu życia kulturalnego Ziemi Odzyskanych — boć nie wyłonią się wówczas procesy naturalne — które jedynie mogą dać żywą kulturę.

W książce napisanej przed 10 laty („Polityka kulturalno-oświatowa w Polsce współczesnej“) pisał Bogdan Suchodolski, że w dziedzinie kultury „ani żywotności twórczej ani jednoci stylowej nie można osiągnąć bezpośrednio metodami ingerencji. Żadna biurokracja nie zdoła skutecznie wymagać wielkości od sztuki, ponieważ dać jej to może tylko geniusz artysty i żądne wymagania władz nie podniosą poziomu charakteru wielkich mas. Ale umiędzielnione organizowanie warunków życia nie może wytwarzać sytuacji, w których rozjaśnią się talenty i krzepną charaktery. Wszelka przesada w dziedzinie opieki nad żywotnością twórczą kultury i nad jej stylową jednością, zbyt natrętne i natarczywe naleganie, zbyt bezpośrednie i pośpieszne wymagania, dają w wynikach, zamiast wzmoczenia siły twórczej, patos powierzchowny manifestacji, a zamiast żywej jedności, martwy szablon. Zasadniczym wskazaniem dla polityki kulturalnej w tych dziedzinach musi być dyskretny umiar opieki. Opieka ta wyrażająca się przede wszystkim subwencjami stałymi lub dorywczymi dla instytucji i przedsięwzięć, nie może obyć się oczywiście bez selekcjonowania. W procesie selekcjonowania można i należy baczyć na dźwiganie poczynań i pogłębianie procesów, gruntujących od podstaw jedności rodzimej kultury i zespalających ją w jednolitą całość. Tą umiejętnie stosowaną opieką, a nie narzucającymi z góry wzorcami, można skutecznie i trwale przyczynić się do lepszego ukształtowania wartościowej jedności kulturalnej.“

Gdybym miał reasumując wszystko, lapidarnie ująć te najbardziej istotne momenty, które stanowią winny podstawę naszych prac nad budowaniem jednolitej kultury na Ziemiach Odzyskanych — powiedziałbym: na trzech pierwiastkach trzeba oprzeć odbudowę i budowę życia kulturalnego polskiego Nadodrza i Nadbrzeża, na pierwiastku wspólnej pracy, wspólnej modlitwy i wspólnego śpiewu.

Wrocławska polonistyka

Dla polonisty pamiętnym jest Wrocław z dwu krótkiego pobytu Juliusza Słowackiego: raz bawił tu w roku 1830 jadąc do Londynu, a drugi raz w 1848 spotkał się z matką. Z wrocławskim księgarzem Korncm portretował Słowacki w sprawie wydania swoich dzieł.

We Wrocławiu wykładali literaturę polską w ramach literatury słowiańskiej Cybulski i Nehring.

O tych i innych tradycjach polonistycznych Wrocławia pisze książkę prof. Tadeusz Mikulski.

Polonistyka wrocławska rozwija się powoli. Czwarta część studentów humanistyki to studenci polonistyki. Pochodzą oni przeważnie z Wilna i Lwowa. Gmach, w którym mieści się Instytut Historii Literatury jest piękny i zażytkowy. Polonistyka wrocławska posiada 4 katedry, dwie historii literatury polskiej, jedną języka polskiego i jedną literatury porównawczej.

Największą bolączką jest sprawa książek. Z dawnej biblioteki poniewieckiej wybrano trochę książek z zakresu sławistyki z bardzo niewielką ilością polonistów. Dzięki życzliwemu stanowisku rektora St. Kulczyńskiego i zapobiegliwości prof. Mikulskiego i Kolbuszewskiego udało się zakupić bibliotekę po prof. Windakiewicz i Ogrodzińskim. Prof. Pollak z Poznania obiecał przysłać pewną ilość książek bezpłatnie. 80 tomów ofiarowała Spółdzielnia Wyd. „Książka“. Ta piękna inicjatywa znajdzie chyba naśladowców w społeczeństwie polskim, które zechce umożliwić młodzieży studia polonistyczne. (Obecna liczba książek ok. 1500 tomów jest „stanowczo za małą“.)

Jeszcze przed rozpoczęciem normalnych studiów rozpoczęło swoją działalność Kolo Polonistów i Sławistów. Ponieważ ma ono na celu akcję kulturalno-oświatową na terenie całego uniwersytetu, przeto należą do niego studenci innych wydziałów. Kolo obejmuje następujące sekcje: naukową, literacką, sławistyczną.

Z inicjatywy polonistów powstały na terenie Wrocławia towarzystwa, mające za zadanie krzewienie zamiłowania do literatury i języka polskiego. „Towarzystwo miłośników literatury i języka polskiego“ urządza „Czwartki literackie“.

Prezeską jest powieściopisarka Anna Kowalska. Utwor jej odczytany na pierwszym zebraniu pt. „Mar-notrawny ojciec“ wywołał ożywioną dyskusję. Współ z TUR'em urządza Towarzystwo wieczór autorski Marii Dąbrowskiej, która odczytała swój dramat „Bogumił i Stanisław“.

„Towarzystwo miłośników języka polskiego“ z prezesem prof. Stanisławem Respondem na czele urządza dwa zebrania z następującymi referatami: „Zadanie polonisty na Śląsku“ St. Responda oraz „Dwie formy języka i świadomość“ St. Kolbuszewskiego.

„Towarzystwo Literackie im. Adama Mickiewicza“ powstało w początkach lutego. Prezesem jest prof. Stanisław Kolbuszewski, wiceprezesem dyrektor biblioteki uniwersyteckiej dr Knot. Na pierwszym zebraniu wygłosił referat prof. Uniwersytetu Warszawskiego Julian Krzyżanowski, który bawił we Wrocławiu z kilku wykładami dla studentów. Referat jego pt. „Istota arcydzieła“ wywołał bardzo żywą dyskusję. Następnym z kolei był referat dziekana wydziału humanistycznego Jerzego Kowalskiego pt. „Popas Mickiewicza w Upicju“.

Na dalsze posiedzenia zaproszeni są profesorzy poznańscy: Pollak i Szwejkowski, Maria Dąbrowska wygłosiła odczyt „O wierności Conradowskiej“.

Organ Towarzystwa Pamiętnik Literacki drukować się będzie we Wrocławiu (dawnej Lwów). Redakcję objęli prof. Krzyżanowski i Mikulski. (ha-po)

Maria Jarochońska

U nas na Śląsku...

1.

Historia lotniska we Wrocławiu nie ma sobie równej w dziejach świata. Zestawiona może być chyba tylko ze wzniesieniem piramid przez egipskich faraonów, albo z murem chińskim budowanym na rozkaz cesarzy. Z tą może różnicą, że należąc do dzieł gigantycznego niszczenia nie obrośnie w nieśmiertelność jak przetrwała do dziś dzieła budowy. Chociaż krew, która spajała kamienie w budowach tyranów była równie czerwona i ludzka, jak krew używająca lotnisko.

W zimie 1945 r. Armia Radziecka po otoczeniu miasta zaskoczyła Wrocław uderzeniem od zachodu. Komenda niemiecka koncentrująca dotychczas główną część swych wysiłków obronnych na wschodzie miasta, stanęła wobec faktu dokonanego utraty lotniska, znajdującego się w zachodniej stronie. Przywódcy hitlerowscy poczuli się w pułapce. Skąd wystartują teraz ich samoloty przygotowane w każdej chwili do zbawczej ucieczki? I wtedy gauleiter Wrocławia słynny SA Hanke, postanowił zbudować lotnisko w centrum miasta. Na jego rozkaz SS-mani wysadzili w powietrze za pomocą min domy dzielnicy Scheitnigerstern, pomiędzy mostami cesarskim i księżym. Został kompletnie zburzony obrońca miasta długości około półtora kilometra, a szerokości 800 m. Długie tygodnie trwała wywózka gruzów i ubijanie nawierzchni lotniska. Dniem i nocą pracowano pod nadzorem niemieckim setki niewolników-więźniów, pędzonych na robotę z pobliskiego obozu. Co parę dni nadlatywały samoloty alianckie i prały w lotnisko, chcąc uniemożliwić ucieczkę hitlerowskiemu dostojnikom. Bomby masakrowały dziennie 200 — 300 osób, w tym wielu Niemców. Przedstawiciele wszystkich narodów świata przeklinali Niemców i Hankego wieloznaczoną mową najstraszliwszych przekleństw. Wyrwy po bombach zasypywano, trupy wywożono razem z gruzami, krew wsiąkała w ziemię i wygładzała się coraz bardziej powierzchnia lotniska niby posadzka piekła froterowana przez potępieniów.

W końcu, a czas już był najwyższy, z krwawego lotniska wystartowali w obłoki wodzowie partyjni, uwożąc życie wraz z „honorami” i pozostawiając swym poddanym niepotrzebny już balast mitu o potęgę ducha niemieckiego. Hanke — który, jak głoszą pozostałe do dziś dnia afisze, parę tygodni wcześniej kazał rozstrzelać przed ratuszem we Wrocławiu szefa apro wizacji, za to że ów jedną ze swych podróży prywatnych podał za służbową — teraz ten sam Hanke uwiózł „służbowo” swoją osobę, skwapliwy w ratowaniu się „für Führer und Vaterland”.

Dziś lotnisko zwane Rollbahn, jest olbrzymim placem o idealnie gładkiej powierzchni, na której białe pasy ulicznych asfaltów odcinają się wyraziście od ceglanych kwadratów czerwonego żwiru, pozostałego po blokach zburzonych kamienic. Część placu zamieniona jest na targowisko, niepodobne do żadnego targu świata. Pod setkami różnokolorowych niby na plaży grzybów-parasolek tkwią stragany z żywnością, a między nimi przelewa się sennie morze tłumu, hucząc handlowym gwarem i krząc, krząc, krząc nieustannie naokoło. Nasza mowa ojczysta dźwięczy tutaj słowami: „komu kupki ciepłej, komu?” Przy licznych prymitywnych ruletkach zgrywają się Niemcy stawiając ostatnie grosze na rozpedzone figurki koników, a wesołe postacie, przeniesione żywcem z krakowskiej tandety czy z warszawskich „targów poznańskich” wykrzykują żwawo i ochryple „grubiej, panowie grubiej! śmielej, panowie śmielej! będzie weselej!” I jeszcze zachęcają piśczętliwie nic nierozumiejących wrocławczyków o tępo wybałuszonych oczach: „Przyjechał frajer, darmo forsz daje!”

Wszystkie młode twarze to na sto procent Polacy. Stare i dziecinne to Niemcy. Na całym Śląsku Dolnym uderzająca wśród ludności niemieckiej jest ilość strupieszonych starców, kobiet i dzieci. Idee Hitlera wywołały w posłusznym narodzie nadprodukcję dzieci. Podczas gdy mężowie wywalczali „nową Europę”, patriotki niemieckie rodziły na rozkaz wodza, seryj-

nie niby maszyny przyszłych władców świata. Dziś każda wielbicielek Hitlera pcha przed sobą wózek z embrionem człowieka, oszukanego gorzko jeszcze w momencie swego poczęcia przez ubóstwianego wodza. Na wrocławskim lotnisku starsze dzieci niemieckie sprzedają swoje lalki. Taka z zamykającymi się oczami — 500 złotych. Ofiarowują swoje niemowlęta, kręcąc się wśród tłumu starczych twarzy, o ptasich nosach, króliczych oczach, mysich pyszczkach. Ma się złudzenie jakiegoś piekielnego sabatu na Łysej Górze. Jak gdyby wszystkie jędze świata i ich zgrzybiali kochankowie usiłowali chytrze sprzedawać tu swoje skarby, wywleczone z zatęchłych przepaści utajonych skrytek. Mienia się w ich rękach staroświeckie halki z falbanami, sznurowane szpiczaste bucinki, barchanowe kaftaniki z wyblakłymi wstążkami, odwieczne zastawy stołowe pokryte strupami wypukłych ornamentów, brzuhałe dzbanki, ohydne kryształki, wyleniale futerka i całe bogactwo nieśmiertelnej starzyny, dziedziczonej z pokolenia na pokolenie, która potrafiła przetrwać czteromiesięczne oblężenie Wrocławia. Teraz targują się o nią specjaliści od „kupuć — sprzedać”.

Na rogu placu sterczą sztywne dwa posągi skamieniałej starości. Jak na portrecie Henri Roussau kościsty Niemiec z wyszczerzoną białą sztucznych zębów przyciska do piersi zegar stojący, oprawny niby w krwisty salceson w żyłkowany różowy marmur. Plecy okrywa mu ofrędzłowana kapa z włóczkowym napisem, wyszytym pomarańczowymi krzyżykami: „Morgenstunde hat Gold im Munde”. Obok pergaminowa żółta Niemka trzyma w wyciągniętej sztywno przed sobą dłoń nikielową lampę naftową z nadtłuczonym zielonym kloszem i lekko zakopconym szkieletem.

Jakież minuty chcesz sprawdzać na tym staroświeckim zegarze — ojciec synów, którzy być może odmierzali swoje godziny jękiem torturowanych ofiar? Jakże przestrzenie chcesz oświecać tą pojętą lampą

matko ślepych barbarzyńców, niezmordowanych w trudzie zaciemniania całego świata? Stoicie na placu, którego gładkość udeptały opuchłe nogi umęczonych więźniów i przeżuwacie tępo milczącą myśl, którą wypowiadają z oburzeniem tysiące waszych rodaków: „Skoro wojna się skończyła niesprawiedliwie cierpimy dalej!”

2.

Jak wszystkie krainy o nieograniczonych możliwościach Śląsk skupia u siebie tylko wybitne typy osobowości ludzkich. Nie ma tu prawie zupełnie „średniaków”, ludzi w letniej wodzie kapanych. Jest element albo wysokowartościowy, albo awanturniczy spod ciemnej gwiazdy. Stemplem zasadniczym który odróżnia najjaskrawiej od siebie te dwie grupy Polaków, jest ich stosunek do Ziemi Odzyskanych. Dla niebieskich ptaków Śląsk jest tylko chwilową bazą operacyjną. I aby mieć łatwy pretekst do ogałania go z czego się da, głoszą gorliwie reakcyjną piosenkę: „te ziemie i tak nie będą nam ostatecznie przyznane”. Więc zrabowanymi ze Śląska służbami, które ideowo „wyratowali” meblują swoje prywatne mieszkania w rodzinnych miasteczkach. Zresztą dzieje im się znakomicie. Nie tracąc czasu na daremną pracę dla kolonizacji Ziemi Odzyskanych mogą poświęcić się w całości zabezpieczeniu własnej przyszłości. Natomiast warunki życia ludzi, którzy uwierzyli, że Śląsk jest nasz, są bez porównania cięższe. Ci nie mają czasu ani głowy troszczyć się o siebie. Mieszkają źle, bo luksusowe mieszkania obsadzili już dawno przezorni szabrownicy, jedzą letnio-wodniste stołkowe potrawy, o pieniądzach nie myślą bo i tak nie ma. Mają tysiąc razy ważniejsze troski. Że nie można uprawiać zaminowanych pól, że żniwiarzy jest za mało do zbiorów, że nie wszędzie widzi się jeszcze napisy polskie, że transport utyka, że uruchamianie fabryk za wolno idzie i wszystkie te ciężkie kłopoty zapobiegliwych wiodarzy, którym zależy na podniesieniu gospodarstwa do najwyższego poziomu.

Nino Salvaneschi

Cierpię i myślę

Autor: ślepy od wielu lat wybitny pisarz i poeta włoski współczesny, mający w swym dorobku twórczym m. in. książkę — tłumaczoną na język polski — o Chopinie (II tormento di Chopin, przeł. p. tyt. Żal Szopenowski) oraz analogiczne, równoległe do myśli o cierpieniu, rozważania o miłości. Strata wzroku (1924 r.) — według zdania wybitnego krytyka włoskiego — otworzyła mu oczy na światło ducha i wiary i na najwyszukawszą formę ekspresji artystycznej.

Przekład dokonano z 12-go wydania włoskiego. Nadmienić trzeba, że książka cieszy się we Włoszech wielką poczytnością (12 wydań w ciągu półtora roku).

TOBIE, KTÓRY CIERPISZ...

Tak, życie jest piękne, cenne i tylko jedno. Jedno, ponieważ jest to czas naszej próby. Piękne, ponieważ po burzy jaśniej rozbłyska słońce. Cenne, ponieważ dla siebie możemy zrobić je pożytecznym, a dla innych płodnym w rozliczne owoce. Ziemia pozbawiona boleści byłaby Rajem, któryśmy utracili i może boleść jest gościńcem prowadzącym do niego z powrotem. Nie mówmy więc: „Błogosławieni, którzy nie cierpią”, skoro wiemy, że pozostają oni poza zawartą bramą i w dali od tego gościńca.

Tak więc, w tym pięknym, cennym i jedynym życiu, boleść jest narzędziem za pomocą którego mamy stwarzać nasze ludzkie arcydzieło. Nie wyrokujemy zatem o jej wielkości i ciężarze, lecz pozwólmy, aby weszła nam ona w krew i śpiewała w sercu. Jeśli cierpisz sam, pracuj nad miniaturą albo karykaturą samego siebie. Jeśli cierpisz z innymi, zdobywasz nowe widnokręgi. Jeśli cierpisz dla Ojczyzny jesteś nutą hymnu narodowego. Jeśli cierpisz dla ludzkości, zdobywasz świadomość wszechświata. Jeśli cierpisz z Bogiem, każda każn będzie ci lekka.

Lecz przyjąć — to pierwsza zasada, to prawo. Przyjąć, aby poznać siebie. Aby więcej widzieć. Aby pojąć obowiązek. Aby uczyć braterstwo. Aby ból przekształcić w wesele.

Zdarte od użycia słowo „pionier”, tutaj na Śląsku nabiera pełnokrwistej, realnej treści. Nie można inaczej nazywać tych ludzi z wszystkich klas społecznych i zawodów, z wszystkich stron Polski, którzy przez pół roku nauczyli się już mówić: „u nas na Śląsku”. I tej swojej nowej ojczyźnie dają z siebie co mają najlepszego. Jeśli pracownik Urzędu Samochodowego, dysponujący własnym autem cieszy się jak dziecko gdy rusza pierwszy tramwaj we Wrocławiu, a komisarz ziemski za najważniejszy fakt podany w czytanim dzienniku uważa wiadomość o naprawie mostu w jakimś odległym, nie znanym mu nawet powiecie — znaczy się, nie myślą już tylko o swoim własnym podwórku, ale troszczą się o całość. Znaczą się — Śląsk ich wziął i nie puści! I od razu rodzi się lokalny patriotyzm: „Bo u nas na Śląsku piękniej, milej i bogaciej niż gdzie indziej! Bo Wrocław prędzej się odgryzowie od Warszawy! Ho, ho!” Tak jak arystokrację Stanów Zjednoczonych stanowią dziś osadnicy przybyli na okęcie May Flower, tak na Śląsku największe znaczenie mają ci koloniści, co pierwsi osiedli, co najwięcej trudności pokonali. Liczą się nawet dni. Słyszysz się: „Co, pan dopiero w połowie maja, bo ja 7-go maja?” I czuje się, że ta data jest naprawdę dla niego drugim narodzeniem. Ci wszyscy mówią żarliwie jedno: „ludzi nam trzeba, ludzi!”

A tutaj „więcej niż ludzi jest szakali”. Pracownikowi Urzędu Samochodowego szofer kradnie auto, a jego samego oskarża o handlowanie samochodami. Komisarz ziemski otrzymuje takie raporty:

2 konie i 2 woły
rąbią i rzną drzewo
plus 7 dziewczek i 8 chłopów.

Mnie osobiście przypomina to autentyczny napis na figurze w Sierakowie w Poznańskim: „Królowej Korony Polskiej z wdzięczności za odzyskaną Ojczyznę i wolność. Państwowe Stado Ogierów”. Ale komisarzowi ziemskiemu pewno nie jest do śmiechu nad takim raportem. Nie za-

Oto jest próba twojego losu, trzeba więc nauczyć się cierpieć. Boleść nie jest jak wiatr, co przebiega łamiąc i deptając kwiaty, jak fala co nachodzi, a potem odpływa i nie zostawia żadnego śladu, jak gość co zatrzymuje się w milczeniu przed bramą. Jest natomiast jak woda, która żłobi, kamień godzina po godzinie, jak ogień co oczyszcza metal i kształtuje broń, jak plug, który ryje brudzie coraz głębsza. Podając boleść to zjednoczyć głos własny z chórem świata. Odrzucić ją, to chcieć pozostać niemy.

*

Naturalnie, cierpienie które w nas godzi jest niesprawiedliwe. A raczej niesprawiedliwe jest dla tego właśnie, że w nas ugodziło. Więcej, niesprawiedliwe jest, że trafiło jedynie w nas. I tu porównujemy miary i wagi, natężenie i trwanie. Nie my powinniśmy tak cierpieć przeciw innej cierpią mniej. Nikt od nas nie cierpi więcej. I w dalszym ciągu aż do utraty tchu, tym nawet, którzy się całkiem nie interesują naszymi sprawami, wyjaśniamy całą niesprawiedliwość chłuszczącą nas boleści. I wysilamy sobie mózg aby cytować imiona i zdarzenia. Ale im więcej szukamy dla drugich, tym mniej znajdujemy dla siebie.

*

Kocham cię mój bracie, ponieważ jesteś buntownikiem. Jeszcze mocniej cię kocham, ponieważ ciągle jeszcze odpychasz od siebie boleść. Miluję cię właśnie dla tego że jesteś podobny do mnie. Dlatego zostaj blisko przy tobie.

Bracie, w krzyku buntowników jest już iskra modlitwy.

*

Boleść jest wielką tajemnicą, podobnie jak miłość. Bez miłości nie ma życia. Bez boleści nie ma miłości. Wszyscy szukamy serca, które nas rozumie i duszy, która nas pocieszy. Wszyscy wdychamy do tego, aby drogę naszą odbywać we dwoje. Trafia się jednak czasem dola bez miłości. Nikt natomiast nie chce cierpieć. Nikt nie szuka katuszy i zgryzot. A jednak nie ma dołaj bez cierpienia. I ta podwójna tajemnica ma jeden wspólny rytm, ponieważ więcej kochając uczymy się lepiej cierpieć, a więcej cierpiąc — lepiej kochać. Tak więc miłość i boleść to ziemski przy-

*

Nie bój się więc tej godziny gdyż ona twoją jest mój bracie. Patrz natomiast dobrze, a zobaczysz, że właśnie ona nosi znak twojej boleści. Potem zaś czekaj, aby serce wyrzekło słowo zgody. Wówczas spostrzeżesz, że cierpienie zrobi ciębie rzeczywiście mężczyzną.

Oto jest twoja godzina i oto próba. Każdy spotyka jakąś godzinę w swoim życiu. Wszyscy muszą się poddać próbie. Nikt przez burzę nie przechodzi nietknięty, ale słoneczny dzień wstaje dla każdego.

stanawia się jak woły radzą sobie z rąbaniem drzewa, ale wie jedno: Ma właściwego człowieka na właściwym miejscu. No a niektórzy z burmistrzów będących tutaj kacykami udzielnymi na swoich osiedlach. Bądźcie pewni, że więcej dbali o własną tylko kieszeń, niż o Skarb Państwa. Nie chodzi mi w tym wypadku zupełnie o Niemców. Kto zdołał przeżyć straszliwy czas hitlerowskich okrucieństw, nie jest skory do wzruszania się nad losem Niemców. Ale chodzi mi o Polaków. Chodzi o gatunek człowieka zajmującego odpowiedzialne stanowisko. Nie może być wartościowym urzędnikiem sadysta czy rabuś! Ci dwaj zostali usunięci, ale któż obliczy ile zdołali już zepsuć i zaszkodzić.

Nie takich ludzi potrzeba u nas na Śląsku!

3.

Starośląska legenda głosi, że dawnymi laty rabuś jakowyś włamał się do wnętrza katedry i ograbiwszy ołtarz ze złotych przedmiotów usiłował umknąć przez okno. Tam dosięgła go sprawiedliwość boża, bo przesuwnąwszy głowę przez kratę nie mógł się ruszyć dalej i tak skamieniał.

Dziś kiedy piękna katedra do złudzenia przypomina warszawskie kościoły przez męzące podobieństwo, które łączy wszystkie ruiny świata — u dołu gotyckiego okna nawy bocznej zachowała się kamienna głowa owego protoplasty szabrowników.

Gdyby oko opatrności i dziś zamieniało w kamień swym spojrzaniem rabusiów i grabieżców — okna domów Dolnego Śląska wytapetowane byłyby głowami osobników, złapanych na gorącym uczynku. Nie pomagają napisy: „Nie masz szkodnika nad szabrownika“. Nie pomagają zakazy wywozu nieruchomości ze Śląska. Choć władze zabrały się ostro do tepienia rabunku, Śląsk jest jeszcze ciągle królestwem szabru. Tak dalece, że potrzeba ludu stworzyła nawet pochodne wyrazy od słowa szabur: odszabrować, przyszabrować, podszabrować. Nie mówiąc już o piesczotliwym zdrobnieniu: szaberek. Studiując historię szabru, która zakiełkowała po powstaniu warszawskim, a rozkwitła po wypędzeniu Niemców, osiągając na Śląsku swój złoty wiek, zauważyć można trzy zasadnicze typy klasycznych szabrowników: patrioci, szabrownicy familijni i sportowcy.

pluw i odpływ. Miłość zaprasza nas uśmiechem i poprzez drogi kwitnące przyjemnościami i nadzieją wiedzie ku zrozumieniu boleści. Boleść nas woła różnym głosem i przez twardą drogę cierpliwości i wyrzeczeń wiedzie nas ku rozleglejszej miłości. Poza tym, ponieważ miłość jest niebiańską tęsknotą a boleść uwolnieniem od ziemi, przeto w każdej boleści jest coś z nieba, a w każdej miłości pozostaje coś z ziemi. I to są wtajemniczenia losu, przewyżczanie własnego ja, rozszerzanie się naszego sumienia, wycieczki w nieskończoność.

I obie wieczne, jak wieczny jest świat, zrodzone w tym samym czasie z jednako-wym świetlistym dreszczem, towarzyszą nam przez całe istnienie i zlewają się nawet wobec śmierci. Miłość odnajduje się w boleści. Boleść powraca jako miłość. Obie rozświetla nadzieja. Obie przekształcają się w wierze.

*

Rozumiem cię; nie wierzysz. Nie możesz przeto przyswoić sobie tych idei i wobec boleści pozostajesz na swoich dotychczasowych pozycjach. Uśmiechasz się sceptycznie, czy nawet ironicznie. Może sceptycyzm stanowi dla ciebie rodzaj ary-stokracji ducha. Często jednak usposabia on nas tylko do wykruszenia się fizycznego i moralnego. Lecz mówisz dalej: „To babskie gadanie, kazania dla dzieci“. A ty przecież nie jesteś ani z tych, ani z tamtych. Tyle rzeczy umiesz. Dużo czytasz. Naturalnie, wyobrażam sobie, przede wszystkim autorów obcych... I przeważnie znasz ich języki. Lecz, powiedz mi, do czego ci oni służą, jeżeli siebie nie rozumiesz nigdy? Podróżowałeś szeroko i daleko: doświadczenia salonów, dywanów, strojów, likierów. Liberie całego świata... Lecz jaką wartość ma przewedrowanie tylu stron, jeżeliś jeszcze siebie samego nie zbadał? Uprawiasz nawet sport. Świetnie, w takim razie, o ile pamiętasz, w starożytnej Grecji wychowanie fizyczne było podstawą moralną. W ten sposób cierpienie przekształca się w atletykę i każdy ból staje się próbą. Ale może nie odpowiada ci moja rozmowa. W takim razie słuchaj mnie dalej.

Na tym chorym świecie, gdzie rozum gubi się w mgłę, trzeba, aby boleść posłużyła nam do odnalezienia światła.

Patrioci należą do altruistów. Bo oni broń Boże nie dla siebie, ale dla zasady. Aby ukarać Niemców i wzbogacić naszą kochaną Ojczyznę. W tym wymierzaniu sprawiedliwości wykazują godną podziwu inicjatywę i sprężystość. Z hejnałem idei na ustach ogałająca miasta, które przecięz są już polskie. Jest to tak zwany szabur urzędowy, bo trudnią się nim pełnomocnicy różnych urzędów. Nie szabrują, ale „zabezpieczają“. Jako osoby ważne nie paprają się drobnymi kawałkami. Byle czego się nie chwycą. Tylko tony i wagony, i rzeczywiście nie dla siebie osobiście, tylko na interes. Ostatnio władze wojewódzkie swym zakazem o wywozie nieruchomości ze Śląska sprowadzają błogie sny szabrownicze z ocięzających powiek tych gorliwych „patriotów“.

Typy rodzinne mają dużo skromniejsze wymagania, ale cechuje ich mrówcza pracowitość i pszczoła systematyczność. Chcą zapobiegliwie umeblować, ubrać, zaopatrzyć na zimę i na lato, wyżywić oraz kompletnie uposażyć siebie oraz całą bliższą i dalszą rodzinę. Mają nieprawdopodobnie rozwinięty zmysł praktyczny. Tylko okiem rzucą na jakąś szafkę i już wiedzą że „akurat się nada do tego rogu, co to wiesz, u nas w salonie nic nie pasuje. A tamta granatowa sukienkę tylko paskiem przydłużyć, rękawy dać z obcego“ i będzie jak ułań na Andzie — „mnie wystarczy raz popatrzeć i już wiem“. Obrazek na ścianie przypomina im od razu, że Munio przepada za pejzażami, a tu właśnie idą jego imienniny. Nawet łacińska ksiązka do nabożeństwa ołśni ich możliwością zrobienia prezentu jakiejś dalekiej ciotce zakonniczki.

Sportowcom natomiast chodzi o rekord. Wszystko jedno co, byle szabrować! Ci są znowu djabelnie wytrzymali. Nie zatrzyma ich żaden defekt samochodu, nie zagłodzi żadna stołówka. Przesadzają lekko bariery wszystkich trudności i łupy swe liczą nie na jakość, ale na ilość.

Zresztą ile odmian ludzkich, tyle gatunków szabrowników. Są esteci (uwaga muzeal), mizantropi (wszystkiego im mało), cierpiętnicy (zawsze mnie inni uprzedzą...), entuzjaści (piękna ta ziemia śląska!), roz-targnieni („zupełnie przypadkiem zdarzyło mi się...“), obowiązkowci („jak u nie wzięć, samo się prosi“), dyskretni („trudno, żyć się musi“) i setki, setki innych.

Cały bagaż zdemoralizowania, którym w okresie pięcioletniej okupacji wpły-

W tym zranionym świecie, gdzie nienawiść znajduje ujście w bezcenności, trzeba, aby boleść służyła do opiewania miłości. Cierpienie przeto miłością i światłem.

A teraz powiem ci, że na tym chorym i zranionym świecie, często się wstydzę, że jestem tylko ślepcem.

GDY CHOROBA DRĘCZY CIAŁO

Choroba jest jak kariera wojskowa. Nieoczekiwanie dostaje się powołanie: wówczas wstępuje się do wojska nawet nie będąc w wieku poborowym. Jeden pozostaje rekrutem, a drugi awansuje. Jeden kończy na sierżancie, inny dochodzi do generała. Lecz to jest jedynie chyba współzawodnictwo, gdzie nikt nie ubiega się o protekcję. Choroba jednak to przede wszystkim obiektyw, który chwytą nas do kłębnie takimi, jakimi jesteśmy. Może fotografia nie zadowoli nas zbytnio. Ale dlatego tylko, że jest wierna.

W każdym razie kimkolwiek jesteś, to będąc chorym, nie jesteś już byle kim. Wierz mi: jeśli na nią nie patrzysz i jeśli jej nie przestudujesz, to choroba ta pozostanie dla ciebie księgą zamkniętą. I tak już zbyt wielu księzek w ogóle się nie otwiera. Wielu chorych — to czytelnicy co czytają powierzchownie. I wielu jest doktorów podobnym księgarzom, co książkę osadzają tylko po okładkach. Tak samo jest wśród księzek są białe jak kruki, tak istnieją rzadkie choroby: są książki na widok których, żal nawet zmarnowanych pieniędzy i choroby co zostawiają ślad tylko w portfelu, książki które są przed dojściem do końca i choroby zapomniane zaraz po wyjściu z łóżka. Lecz są książki, które się pamięta przez całe życie i choroby, które są przyczyną jakichś narodzin w sercu.

Analizowanie dlaczego choroba nadchodzi właśnie w tym danym momencie, badanie jej pod względem duchowym, płynny, przyswojenie sobie wreszcie doświadczeń jakie ona nam daje i strzeżenie przez całe życie owoców boleści — wszystko to są różne sposoby interpretacji choroby.

Dla materialistów jest ona dowodem kruchości naszego ciała.

Dla oddających się kontemplacji — wezwaniem do poszukiwania prawdy nie-

niemieckie obdarzyły pewną część polskiego społeczeństwa, cała ta nieuczciwość, łapownictwo i pijaństwo pognały na Śląsk, gdzie tępięone w jednym miejscu odrastają w innym, niby odcięta głowa stugłowego smoka. Dla Niemców jest to jeszcze jęder rikoszet, spadek po hitlerzyźnie, ale my musimy jak najrychlej tę spuściznę zlikwidować.

4.

Orzeł piastowski na zewnętrznej ścianie nawy głównej kościoła św. Krzyża przetrwał stulecia germanizacji Śląska i dziś patroluje polskość Wrocławia, choć kościół mocno podziurawiony jest kulami.

Napis „Wjazdny dom pod złotym berłem“ — był widać tak tradycyjny, że utrzymał się na zwykłym domu przy ulicy Schmiedebrücke do dziś, mimo iż dom był odnawiany przez Niemców, jako kwatery główna gen. Steina, który stąd w 1812 r. wyruszył na Napoleona.

Dziś polskie słowa kwitną na wszystkich szyldach i tablicach. A czasem można zobaczyć pojedyncze litery różnokolorowych niemieckich napisów; jak odtupane od ściany dłem robotnika, roztrzaskują się na płytach chodnika. I tylko ślad zmywany przez deszcze na murze zostaje, podobny do cienia dawnych słów. Bywają i inne ślady niemieckich. Napis nad wejściem do hotelu w Kłodzku: „Pierwszy dom na miejscu“. Co do czego pierwszy? Człowiek obyty i inteligentny, albo władający językiem niemieckim domyśli się po zastanowieniu, że chodzi tu o hotel pierwszej kategorii, najlepszy.

Nad spadzistymi uliczkami prześlicznego Kłodzka górują omszałe mury starej twierdzy, zbudowanej przez Fryderyka Wielkiego. Za czasów jego nieodrodzonego spadkobiercy Hitlera odnowiono fortecę, aby zrobić z niej obóz dla przestępców politycznych w armii niemieckiej. 2.000 wojskowych tkwiło w lochach. Co parę tygodni na specjalny rozkaz Himmlera rozstrzelano 25 oficerów i żołnierzy. Tak regime hitlerowski karał tych, którzy zamiast słuchać, myśleli.

Wewnątrz forteca zdumiewa ogromem. Trzy kondygnacje cel, fosy, mosty, dziedzińce, bramy, niekończące się tunele między murami, wszystko to na różnych poziomach, nawarstwione na sobie niby gniazdo termitów. Podziemia zięją wilgocią i niesamowitością. Atmosfery namacalnej prawie grozy, uwieżionej wśród

zmiennej poza bezpośrednim kręgiem ziemskich losów. Dla mistyków — biernym oczyszczeniem, w którym niewola ciała uwalnia wzdychającą do nieskończoności duszę, aby mogła zjednoczyć się z Bogiem.

I istotnie, od czasów św. Pawła wielu wielkich mistyków uległo ciężkim chorobom. I może dlatego powiedziała św. Hildegarda, że Bóg nie przebywa w zdrowych ciałach.

Choroba więc to doświadczenie, odnawiania lub przekształcania człowieka. Ale chorobie, która nam jest przeznaczona, trzeba patrzeć w twarz. Zawsze dobrze jest znać tego, kto kroczy nam u boku. I to nawet wtedy, jeśli chodzi o tylko o jedną chwilę.

Oto twój pokój, pokój chorego. Może mały jest jak muszelka lecz i on zmieści w sobie echo świata. Nie patrz na niego wrogo: ty potrzebujesz go więcej niż on ciebie. Zamiast tego więc zjednaj sobie jego przyjaźń, wiedząc że będziesz musiał w nim żyć przez jakiś czas. Przypatrz mu się uważnie, przecież on jest nawet wesoly: ani wspomnienia po tych, których gościł, ani znaku ich boleści. Jest nowy i całkowicie dla ciebie. Nie wpatruj się już w okno wzdychających za utraconą wolnością, znajdujesz się tu właśnie po to, aby ją zdobyć z powrotem. Porozkładaj raczej należycie swoje rzeczy. Może jakąś książkę. Niezawodnie i fotografię tych, których kochasz. I popatrz na Krzyż, to prawdziwy gospodarz domu, który pewnego wieczora stanie się twoim przyjacielem.

Oto pokój, który ciebie przyjmuje. A i okrutnie zarazem, na który wsiądziesz jeszcze dzisiaj. Pozdrowiłś rodziców i krewnych.

I jesteś kapitanem załogi swych myśli i swoich nadziei. Może kiedyś zapoznasz się z porywistym i burzliwym wichrem: burza to powód do chwały dla dobrego marynarza. Bądź pewny, że nadejdzie dzień, kiedy kotwicę zarzucisz w spokojnym porcie. I będziesz wyleczony.

Szczęśliwej podróży, kapitanie. Zobaczysz, że świat mniejszy niż twoje serce...

Z włoskiego spolszczył

Tadeusz Ulewicz

tych murów nie rozwieją już nigdy żadne wiatry, nie spłuczą żadne deszcze, nie roztopi słońce. — Duchy, które tłuką się tu i wyją po nocy nie są napewno zwykłymi zjawami seansów spirytystycznych. Wyszlifowane nogami skazańców szczeble drabiny wiodą na dno starodawnej fosy obronnej. Pod pomalowaną na biało ścianą, aż dziobata od uderzeń kul, leżą porządnie hełmy. Tutaj spełniał się co tydzień wyrok III-ciej Rzeszy. Na murze z boku drobny napis chemicznym ołówkiem: „Uns kamm der Friede eiliger als euch“.

Komu zastawiłeś to zrezygnowanie w goryczy pocieszenia nieznanym skazańcem, czekający cierpliwie na swoją kolejkę do śmierci, która miała przynieść tobie rychłe ukojenie, niż twoim prześladowcom?

SS-mani nie czytali takich napisów. Na prostopadłych murach doujonu, koło swych baraków mieli wymalowane ogromne mapy wszystkich części świata. Błękitne oceany oblewały kuliste lądy, na których oczy hitlerowców dostrzegały w fałszywej proroczej wizji stygmat swastyki.

5.

A inne problemy? Odkąd Milicja zabrała się ostro do czyszczenia swych kadr z elementu szkodliwego, każda wzmianka w prasie o tej akcji wywołuje szal radości i entuzjazmu u szarego człowieka śląskiego. Śląsk cierpi zresztą na niedosyt prasy. Do miast powiatowych dzienniki dochodzą z dużym opóźnieniem, a tygodniki przeważnie w ogóle nie dochodzą. Z dziesiątków gazet, które wychodzą w Polsce, na Śląsku widać zaledwie dwa, trzy ich siostrze rodzące. Pisma literackie to białe kruki, na które urządza się skomplikowane polowania. Chociaż nowoczesny sklep „Czytelnika“ zdobi najgłośniejszą ulicę każdego, najmniejszego nawet miasteczka, wewnątrz jego jest wszędzie jednakowo czyste, chłodne i gołe. Zaledwie parę broszur skupia się potulnie po rogach półeczek, obitych białym papierem. Personal uważa klienta za swego osobistego wroga i wzruszeniem ramion daje do poznania, że: „Co mi tam w ogóle zależy!“. Przy nieprzebranej mnogości niemieckich księzek, tułających się po wszystkich kątach śląskich mieszkań, zupełnie brak książki polskiej stanowi dotkliwy kontrast. Wobec trudności transportowych tylko intelektualiści, miłujący książki bardziej niż samych siebie, wędrując na Śląsk, obciążają swoje plecaki kilogramowymi cegłami drukowanego papieru. Wszyscy inni zabierają przedmioty pożyteczne dla ciała, a potem tęsknią za książkami. Niby w koloniach podzwrotnikowych, odciętych przepaścią kilometrów od cywilizowanego świata, ludzie podają sobie z ust do ust nowinę, że ktoś tam na którejś ulicy ma parę polskich księzek! Więc zębrzą o pożyczanie. A potem mimo przysięg składanych właścicielowi, nie oprą się błaganiom kogoś drugiego i dalej puszczą w kurs.

W setkach nowoutworzonych szkół różnorodnych stopni i rodzaj, brak podręczników i lektur to nieprzepuszczalna tama, hamująca potok polskiej oświaty.

Sunąc po śląskich asfaltach, nadpsutych już gdzieś niedziele wirującymi kołami tyśiącznych ciężarówek, mimowoli zestawiamy każdy fragment krajobrazu z tym samym sprzed paru miesięcy. I serce zboleło od wspomnień o śląskich szabrownikach zaczyna się powoli granulować. Bo jednak większość pól, jeszcze wczoraj przerażająco nieuprawnych, jest już dziś zaorana. Ziemniaki też przeważnie wykopano, a biało-czerwone proporczyki migają na każdym dosłownie domu. Nawet w chatkach przełamanych na pół pociskami i ledwie mieszkalnych, widać osadników.

Więc już ludzie na Śląsku przestali się urządzać a zaczęli pracować. I coraz lepiej rozumieją, że każdy dzień ich pracy, każda chwila ich wysiłku, rozstrzyga kwestię przynależności Śląska. Spaja go coraz mocniej z Polską. Każdy zagon obsianej ziemi, każda maszyna ręką polskiego robotnika uruchomiona, włącza pulsującą treść w te piękne słowa: „u nas na Śląsku!“.

„ODRY“ nie może braknąć w świetlicach całego kraju. — Numery jej to prawdziwa encyklopedia dziejów, życia i wiary polskiego Zachodu. — W administracji pisma jest do nabycia jeszcze pewna ilość roczników „ODRY“ po cenach zniżonych.

Mistyczne podstawy Narodowego Socjalizmu

Pod tym właśnie tytułem wygłosił profesor Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, Leon Halban, wykład w cyklu uniwersyteckim, urządzonym przez Towarzystwo Naukowe tegoż uniwersytetu w dniu 10-ym czerwca ub. r., obecnie wydany przez Tow. Naukowe jako czwarty tomik „Wykładów i Przemówień“.)

W ramach bardzo ciasnych, gdyż w broszurce liczącej niewiele więcej ponad dwa arkusze druku, prof. Halban omówił niezwykle zwięźle, jasno i przekonująco problem nader ważny, — u nas, i nie tylko u nas może, niedostatecznie doceniany a często zupełnie fałszywie rozumiany: zagadnienie stosunku „niemieckiego narodowego socjalizmu, czy jak go się dzisiaj powszechnie nazywa, „hitleryzmu“, do najgłębszych, najistotniejszych cech duszy niemieckiej“.

Profesor Halban zwalcza tak bardzo zakorzeniony, nawet u nas, pogląd jakoby hitleryzm był czymś narzuconym z góry przez jedną tylko partię polityczną, która doszedłszy dzięki powojennemu (w rozumieniu pierwszej wojny 1914—1918 r.) — chaosowi do władzy, potrafi tu pchnąć „wielki naród filozofów“ w kierunku zupełnie mu obcym. Jeśli dziś Niemcy starają się to wmówić światu, to znaczy to tylko, że rozumieją doskonale swój interes polityczny, ale wcale tym samym nie staje się prawdą.

Prof. Halban spokojnie, systematycznie, krok za krokiem prowadzi swego słuchacza czy też w tym wypadku czytelnika, od zdarzenia do zdarzenia (w rozumieniu kulturalnym, filozoficznym czy literackim a przede wszystkim religijnym i wyznaniowym) i pokazuje, jak na przestrzeni wieków dusza niemiecka kształtowała się w ten sposób, że narodowy socjalizm (hitleryzm) był tego łańcucha ostatnim ogniwem, nieuniknioną konsekwencją i sumarycznym wynikiem.

Początek procesu autor dostrzega bardzo trafnie już w XIII-ym i XIV wieku u mistrza Eckarta (1260—1327) i jego uczni i zwolenników Jana Taulera (1300—1361) i Henryka Suza (Amandus) (1300 — 1366). „Potępiona w punkcie 9-ym teza Eckarta jest przecież dowodem świadomości dumnej duszy germańskiej, która nie chce uznawać nad sobą żadnego pana“, my możemy dodać tu, ale chce panować nad wszystkimi (Herrenvolk). Tę dążność do przeobstwienia człowieka, oczywiście Niemca, zrównanie go z Bogiem, profesor Halban widzi zarówno u Agrippy von Nettesheim (1436—1535) jak Jana Schefflera (Angelus Silesius) (1624—1677), którego mistykę popularyzował u nas ni mniej ni więcej jak sam Adam Mickiewicz.

Oderwawszy się od kościoła katolickiego dzięki reformacji Lutera, naród niemiecki rozpadł się na setki najrozmaitszych, nieraz namiętnie się zwalczających sekt, których cyfra 222 (1905), w ciągu lat trzydziestu „przekroczyła w roku 1936 liczbę 1.000“.

Z chwilą, kiedy rozproszkowany na 1000 „Konfessionsbezeichnungen“, protestantyzm nie mógł już więcej stać się oparciem dla dusz niemieckich, wydany w roku 1930 „Mythus des XX Jahrhunderts“ Alfreda Rosenberga jest próbą sformułowania „fanatycznej wiary“, łączącej wszystkie te wyznania, „w wybraność ludu niemieckiego, którego przeznaczeniem jest władztwo nad innymi ludzmi“.

Ala nie uprzedzajmy faktów.

Od Angelusa Silesiusa prof. Halban prowadzi nas dalej etapami wędrówki duszy niemieckiej i wykazuje, jak nawet ci pisarze, którym dalekie były tego rodzaju „fanatyczne“ marzenia jak Herder lub Kant wbrew swym szlachetnym zamiarom, w interpretacji następców stają się już u Hegla źródłem ubóstwienia państwa i kultu wojny.

Już w XVII wieku Kasper v. Lohenstein staje się apologetą „starogermańskiego barbarzyństwa i okrucieństwa“.

My wszyscy, którzy podziwiamy szlachetny humanitaryzm najwyższych reprezentantów kultury niemieckiej: Lessinga, Herdera, Schillera itd. zapominamy o tej

prawdzie, dobitnie podkreślonej w broszurze prof. Halbana: „że oni wszyscy walczą z własnym społeczeństwem o głoszone przez siebie ideały, które bynajmniej nie pochodzą, jak to się mówi, z t. zw. „duszy niemieckiej“.

Tę duszę urabiali inni, których broszura prof. Halbana charakteryzuje wnikliwie, choć z konieczności krótko. Omawia ona wkład, jaki w tę pedagogikę ducha niemieckiego włożyli: Christian Thomasius (1655—1728), tak wysoko przez Trzecią Rzeszę, nieomal ponad Schillera i Goethego wyniesiony, średni zaledwie poeta Henryk v. Kleist, oficer pruski i autor: „Hermandschlacht“ i „Prinz v. Homburg“, będących apoteozą wojskowego Drill'u i niewolniczego tępego posuszeństwa.

Tę duszę kształtuje i „mętny mistyk“ Zachariasz Werner (1768—1823) i diametralnie od niego różny „entuzjasta Niemiec w ich pruskim wydaniu“, Ślązak Gustav Freytag (1816—1895) i przez długie lata wykładający historię na uniwersytecie we Wrocławiu Feliks Dahn, którego „Ein Kampf um Rom“ najlepszy zresztą z jego licznych patriotycznych romansów, i u nas cieszył się dużą poczytnością i rozgłosem.

Z czasem, w miarę hipertrofii krytycyzmu w stosunku do Pisma Św., tej jedynej podstawy — jakby się zdawało niewzruszonej — protestantyzmu, „źródłem natchnienia dla licznych poetów i powieściopisarzy aż po mistrza tej miary jak Wagner staje i Edda i Nibelungi.

Wystarczy tu wspomnieć, jakim kultem otaczali Niemcy nie tylko Wagnerowski „Pierścień Nibelungów“, ale nawet film na tym tle osnuty.

Jak widzimy wszystko: poezja, romans, muzyka i nauka (W. v. Eicken, H. von Treitschke i in.) podaje sobie ręce w tej apoteozie niemieckości, jej brutalnej sily i urojonych tytułów do władztwa nad światem.

Ten „furor“ teutoński znajduje wreszcie swojego kodyfikatora w filozofie Fr. Nietzsche, którego wpływ zaciążył fatalnie nie tylko nad Niemcami, ale i u nas znalazł gorących wyznawców teorii „Übermenscha“, „Herrenmenscha“, by wymienić jednego bodaj Stanisława Przybyszewskiego z jego „Dziećmi szatana“.

Profesor Halban przedstawia szczegółowo, na ile tylko pozwalają mu skrupule ramy odczytu, jak mistyka niemiecka oddała się coraz bardziej od Chrystusa i jego nauki (nawet w jej protestanckim zwięzieniu), akcentując nienawiść do „Syna człowieka“ i etyki chrześcijańskiej, starając się na ich miejscu wprowadzać wierzenia starogermańskie i nawrót do etyki Eddy i Nibelungów.

Germanische Glaubens Gemeinde i jej organ „Germanischer Glaube“ na długi czas (1907) przed zwycięstwem hitleryzmu stają się propagatorami tych właśnie idei, a podobnych zrzeszeń jest w Niemczech dużo więcej.

Tajny Uniwersytet Jagielloński

W dniu 17. marca studenci tajnego Uniwersytetu Jagiellońskiego z lat 1942 — 1945 urządzili uroczystą Akademię, by przypomnieć sobie te ciężkie czasy, w których pod bokiem wroga, a przecież w najgłębszym przed nim ukryciu, kształcił się i wiedzę nabywali na tajnych kursach, prowadzonych przez profesorów i wykładowców Jagiellońskiej Wszechnicy.

To Kraków był pierwszym miastem w Polsce, w którym Niemcy zamknęli wrota przybytku wiedzy czystej, zawsze tylko z myślą o Polsce i dla Polski uprawianej. Uwięzili rektora, członków senatu, profesorów, wykładowców, wszystkich, których podstępem zwabili do gmachu uniwersyteckiego, wszystkich bez względu na wiek. Męczyli ich w Sachsenhausen i Dachau. Przez długie, koszmarnie lata okupacji stali się winnymi śmierci ponad siedemdziesięciu krakowskich uczonych. To było tylko pretekstem aresztowania, że rektor krakowski wraz z senatem osmielili się w r. 1939 otworzyć nowy rok szkolny.

Profesorowie, którzy przeżyli obóz, po powrocie z Sachsenhausen, zaraz ogłaszają się wokół za dawnymi studentami, by zebrać ich razem, kierować ich prywatną nauką. Plan organizacji nauczania uniwersyteckiego rozważono dokładnie i wszechstronnie. Największą trudnością było zamknięcie i zniszczenie zakładów uniwersyteckich. Na kierownictwie ciążyła ogromna odpowiedzialność. Zdawano sobie sprawę, że gdy wróg wpadnie na ślad tajnego uniwersytetu, to życiem swym mogą przypłacić wszyscy wykładowcy i cała młodzież. Wiedziانو, że i rektor Jagiellońskiej Wszechnicy, i członkowie senatu, i wszyscy, którzy siedzieli w Sachsenhausen i Dachau, nadal po zwolnieniu, są pod pilną uwagą niemieckiej policji. Trzeba było, by kierownictwo objął w swe ręce ktoś, kto unikał sachsenhausenskiej niewoli, a równocześnie ktoś, kto cały mechanizm organizacji i nauki uniwersyteckiej zna dobrze. Rektorem tajnego uniwersytetu objął były rektor Krakowskiej Wszechnicy prof. Władysław Szafer. Dobral sobie do pomocy prof. Mieczysława Maleckiego, znanego sławistę, w którego ręku skupiały się nici wszystkich tajnych wydziałów i wszystkie akty. Na kuratora tajnej

Oczywiście dla władców Trzeciej Rzeszy: Hitlera, Himmlera, Ribbentropa było rzeczą nieznośnej wagi, aby te właśnie przekonania zapanowały w duszach młodzieży. Prof. Halban sądzi, że „spomiędzy czołowych postaci politycznych narodowego socjalizmu tylko Goebbels i Goering nie mogą być zaliczeni do przekonanych mistyków germańskich“.

Co do pierwszego, nie jestem wcale tego taki pewny; czytałem stale jego niekiedy świetnie pisane artykuły w „Reichu“ i pamiętam jeden, w którym gorzko ubolewał, że kult dla państwa i wodza, nie jest jeszcze u Niemców, tak jak u Japończyków, nakazem religijnym.

Natomiast nie można nie uznać w całej rozciągłości tej konkluzji, którą prof. Halban formułuje w ten sposób: „Olimpijczyk weimarski (Goethe) i inne czołowe postaci“ nie są „reprezentantami powszechnej kultury niemieckiej“. „Oni reprezentują tylko aspiracje duchowe znikomej mniejszości (podkreślenie moje), a obok drobnego Weimaru, który usiłuje obdarzyć Niemców wielką, uniwersalistyczną treścią duchową, wznoszą i potężniejszą groźnię Poczdam i Berlin, symbole zgoła innych ideałów“.

My nie zdajemy sobie sprawy, jakie spustoszenia wywołały w duszach Niemców te olbrzymie, niewiarygodne sukcesy, jakie Hitler odnosił przez kilkanaście lat. One utrwalały w duszach, przede wszystkim młodzieży i sfanatyzowanych kobiet przekonanie, że wiara mistyczna w wybrany naród niemiecki i jego prawo do zawiadnięcia wszystkimi narodami, chociażby za cenę wymordowania milionów niewinnych ludzi, podeptania najświętszych praw boskich i ludzkich jest słuszną, skoro sam Bóg (kiedy to było wygodne, zjawiał się on znów, lubo w bardzo mglistym ujęciu) pomaga Niemcom i „Fuehrerowi“.

Toteż słusznie ostrzega prof. Halban w końcowym ustępie swych wywodów: „Tu powstaje obecnie pytanie, czy z rozgromieniem Rzeszy i Partii można sądzić, że groźne dla całej ludzkości niebezpieczeństwo ze strony wiary niemieckiej znikło ostatecznie?“

„Bez wahania odpowiadam przecząco. — Zniszczenie armii i partii tego niebezpieczeństwa nie usuwa“.

A przecież istnieje, nawet u nas, którzy chyba najlepiej poznaliśmy jego dalekość i grozę, jest wiele ludzi, nie widzących tego niebezpieczeństwa lub skłonnych uważać je za zlikwidowane.

I dlatego właśnie odczyt prof. Halbana tak gorąco polecamy intelektualnym kołom naszego społeczeństwa. One winny spopularyzować go i udostępnić w sposób właściwy, najszerszym masom. Uświadomienie takie jest pierwszym nakazem pogotowia i obrony.

Jerzy Kolier

Listy z Polskiego Zachodu

Wokoło Zaolzia

Morawska Ostrawa, w marcu.

W ub. miesiącu zorganizował Syndykat pisarzy czeskich z Pragi wycieczkę na Śląsk — Zaolzie. Bawili oni i w Cieszynie w znanym hotelu „Polonia“ (nazywał się za Niemców „Germania“, obecnie „Slavia“). Czemu jednak sami, podkreślając swą lewicowość i chęć współpracy z nami, kumają się w naszych oczach ze zwolennikami Niemców? Oto znany kołodziej Karel Smyczek (były wydawca polakożerczego „Naszego Ślązaka“) przyjechał z Hrczawy, pogranicznej wsi słowackiej, z tamtejszymi dziewczętami, które odtądńczyły przed pisarzami cieszyńskie tańce w śląskich strojach. Smyczek utrzymywał się przed wojną wyłącznie ze subwencji czeskich faszystów z Pragi, zwiastująca agrariuszy, których obecny rząd wsadza do więzienia za kolaboracjonizm.

Inna sprawa to aktualne obecnie „Czeskie divadlo“ dla Śląska. Tysiące koron płyną z Trzyńca i całego Zagłębia na ten cel. I ileż się to natańczono w czasie ostatniego karnawału! Cel wzniosły sam w sobie, oświatowy, ale jak wygląda druga strona tego medalu? Oto Polakom nie pozwala się na odegranie własnych, rodzimych sztuk (Zaolzie może się poszczycić ich ilością i poziomem), a bez wiedzy obcina się pensje robotnikom górniczym i hutniczym, aby wzbudzić czeskie „divadlo“. Polacy mają zatem budować czeskie teatry, kiedy zakazuje się im śpiewania polskiej pieśni i odegrania własnego widowiska? Czy taki ma być skutek przyjaznej ostatniej umowy polsko-czeskiej? A szkolnictwo? Gdzie jest stan z roku 1938? Dlaczego wydaje się czeskie świadectwa polskim dzieciom? Dlaczego zabrania się polskim nauczycielom używania polskiego języka w prywatnej rozmowie? Co zawiąła „Macierz Szkolna“, że zawieszono jej działalność? W imię czego zostało odebrane schronisko na Kozubowej, chluba polskiej turystyki na Zaolziu? Dlaczego odbiera się na granicy polskie książki i grozi się następstwami karnymi?

W nr-ze 20 „Głosu Ludu“ czytamy, czego żąda między innymi poseł nar. socjalistów, Uhlirz w parlamencie praskim: „Nasza niezależność państwową wymaga, aby jakiegokolwiek umowy z Polakami były zawierane pod zupełną gwarancją suwerennych interesów Czechosłowacji. Nie leży bowiem w naszym interesie budować silną Polskę a słabą Czechosłowację... Warszawa mogłaby wreszcie zrozumieć, że rok 1946 nie jest, nie śmie być, ani też nie będzie 1938 rokiem. „Cieszyńskie“ może być spornym problemem dla Polski. Nie będzie jednak nigdy sporną kwestią dla nas. Jest ono dla nas ziemią bezsporną, tak jak Czechy i Morawa. „Cieszyńskie“ jest nasze nie tylko według prawa historycznego lecz także według głosu serca naszego“. Kończąc, wyraził żądanie, aby ludność polską na Śląsku Cieszyńskim wysiedlić do Polski. Ludność ta jest przedmiotem stałego niepokoju i sporów, dlatego musi się tak stać w interesie przyszłego, spokojnego współżycia czesko-polskiego. Należy sobie wreszcie uświadomić, że Republika Czechosłowacka została utworzona dla Czechów i Słowaków, a nie dla kogo innego“.

Jakich konfidentów używają Czesi dla zamacania stosunków sąsiedzkich? Niemców. Spodziewamy się jednak, że władze centralne, umiejące z Niemcami załatwić się jak się należy, o tym nie wiedzą. Zrehabilitowani dwójkarze są najlepszymi donosicielami i wicherzycielami. Już nie spod ziemi, ale otwarcie prowadzą akcję antypolską i prowadzić ją będą nadal. Oto jeden z dzienników słowackich zapowiada wydanie zwinistycznych „Śleszyńskich pism“ Bezrucza... po niemiecku.

(baj)

OKRĘG ŚLĄSKO-DĄBROWSKI
POLSKIEGO ZWIĄZKU ZACHODNIEGO
wydaje obecnie wskrzeszony przedwojenny
organ P. Z. Z.

»Strażnica Zachodnia«

„STRAŻNICA ZACHODNIA“ ma przyczynić się do kształtowania i precyzowania tego co nazwać należy polskim programem zachodnim, który obejmuje krystalizowanie w opinii społecznej zasadniczych tez polityki i gospodarstwa na Ziemiach Odzyskanych jak i urabianie postawy wobec złego sąsiada z Odra.

„STRAŻNICA ZACHODNIA“ dawać będzie równocześnie syntetyczne oświetlenie — z polskiego punktu widzenia — procesów zachodzących na terenie okupowanych Niemiec.

CENA NUMERU 20 ZŁ.

Adres Redakcji i Administracji:
Katowice ul. Powstańców Nr. 43. Tel. 369-01

1) Leon Halban: „Mistyczne podstawy Narodowego Socjalizmu“. — Towarzystwo Naukowe Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. — Wykłady i Przemówienia nr 4, Lublin 1946. Tow. Nauk. K. U. L. Al. Rakławskie 14. — S. 42.

»Wieczór Trzech Króli«

Uwagi jakie mi się nasunęły na temat szekspirowskiej premiery w Teatrze Śląskim bezpośrednio po spektaklu, wylamywały się poza ramy zwykłej recenzji — byłem po raz pierwszy zmuszony odłożyć napisanie jej na parę dni. W atmosferze „widowni“ czułem się wyraźnie osamotniony, tej „widowni“, która każe czekać na siebie aktorom co najmniej kwadrans, aby później za byle sprosny kawał walić brawo przy otwartej kurtynie, tej „widowni“ robiącej „kasę“ na pożałowania godnej „Mojej siostrze“ i infantylnej pseudo-disney'owskiej „Bajce“.

Chodzi oto, że „Wieczór trzech króli“ nie tylko podobał się, ale oczarował niemal wszystkich, całą „widownię“. Sądy bardziej beznadziejne niż zwykle krzyżowały się w antrakcie, nie pozwalając mi nawet spokojnie wypalić papierosa. Byłem wściekły, bo... byłem zawiedziony.

Nie jest to wina Szekspira, że nie szczęści mu się na Śląsku. „Hamlet“ osiągnął w 1924 roku 6 przedstawień, a „Otello“ był grany w tym samym roku tylko 4 razy. Z „Wieczorem trzech króli“ było nieco lepiej, ponieważ podczas dyrekcji Kazimierza Biernackiego w 1926 roku dano 7 przedstawień tej sztuki, zaś w dziesięć lat później, za dyrekcji Sobańskiego (w reżyserii Karola Borowskiego) 26 przedstawień.

Tak się więc składa, że Szekspir gości do nas raz na dziesięć lat. Nie często, i może dlatego stosunek do niego jest tak nierówny. Zna się go tylko z nazwiska i niekiedy z kiepskich opracowań inscenizacyjnych i literackich. Istota większości nieporozumień tkwi w ignoracji albo w nieświadomości, i jestem przekonany, że fakt nieznaności Szekspira przez pokolenie, które przed sześcioma laty miało po raz pierwszy stanąć „widownię“ teatralną, będą nasze teatry odczuwały długo i boleśnie.

Dlaczego wyszedłem zawiedziony? Zanim omówię krytycznie szczegóły inscenizacyjne, podam powód zasadniczy, mianowicie ten, że na pół godziny przed premierą ukończyłem czytanie ostatniej sceny „Wieczoru trzech króli“. Uroczą, czarowną lekturą, słuszną nazwaną przez Dyboskiego „najpogodniejszą komedią szekspirowską, pisaną w okresie dojrzalego spokoju“.

„Duchu miłości szybki i polotny,
Chociaż jak w morzu wszystko w tobie
[tonie.
Wszystko, co polkniesz, choć wielkie
[i
Wartość swą całą w jednej traci chwili.
Tyle form zmiennych miłość w sobie
[chowa.
Ze fantastyczność jej jednej jest cechą“.

Ta apostrofa wyjęta z pierwszej sceny (w inscenizacji przesuńniętej na drugą) nie wiąże się z fabułą, ale doraznie i bodajże najtrafniej określa charakter sztuki, jej rozmarzoną poetyckość, nie zmysłowość, ale własną idealną poetyckość, uczuć, zdarzeń i krajobrazu.

Przewija się przez sztukę owa ulotna, najsubtelniejsza nić poezji (czy to będzie najzupełniej nierealna i niewiarygodna miłość, wypróbowana, bliska egzaltacji, przypominająca sonety szekspirowskie przyjaźń, czy też dyktowany ówczesnymi warunkami „globe'u“ konwencjonalny opis miejsca akcji) nie omijając żadnego pretekstu zatrzymywania się chwilę dłużej i czarowania sobą. A przecież główna sfera akcji, w której niesposób doszukać się ani jednej realistycznej sceny, owo zawikłane qui pro quo bliźniaczo podobnego rodzeństwa, z siostrą przebraną za pazika i przekonaną o śmierci swego brata, opiera się na motywach o wysoce dramatycznym napięciu, że wymienimy tylko początkową scenę burzy morskiej, albo scenę schwytania Antonia. Otóż Wiola, Oliwia, Orsino i Sebastian to bohaterowie głównej akcji, pięknej, lirycznej, nierealnej. Szczególne wyjaśnienie roli i znaczenia akcji dodatkowej nie tylko w omawianej komedii ale i innych wymagałoby omówienia genezy angielskiego teatru okresu elżbietańskiego, zupełnie różnego niż teatr klasyczny, lub oparty na nim francuski. Ograniczę się tedy do skrótów i uogólnień. Tak więc jeśli idzie o dramaty, niestosowanie się do aristotelesowskiej zasady trzech jedności, pomieszanie żywiołu tragicznego z komycznym, lokalizacja szczegółów, pogarda dla dekoracji, a co za tym idzie przedstawianie wszystkiego, co tylko można „ad oculos“, dramatyczna rachuba czasu, bogata kostiumeria itd... wszystko to są cechy teatru średniowiecznego, przekazane w spadku scenie elżbietańskiej.

Efekty czysto wzrokowe, takie jak pojedynki, tańce a nawet egzekucje przeplatane rubasznym komizmem nie mniej rubasznych postaci przeniesionych środkami realistycznymi z życia ludu (Fabian) albo karykaturalnych typów (Czkawka, Chu-

dogęba) trudno było wpleść bez dysonansu w liryczny wątek akcji głównej. W ten sposób powstała akcja dodatkowa, którą, jeśli chodzi o „Wieczór trzech króli“ potrafił Szekspir w sposób mistrzowski, przez wprowadzanie postaci granicznych, powiązać z całością sztuki na prawach artystycznie uzasadnionego kontrastu. I tak, figlarna, „wyszczekana“ Maria będąca motorem (ale nie osi) całej akcji, że tak powiem „kuchennej“, łączy zarazem realistyczny komizm perypetii „kuchennych“, z fantastyczną, melodyjną liryką zdarzeń rozgrywających się w pałacu. Albo błazen, bodajże jeden z najdoskonalszych w literaturze światowej, królewicz uśpięzionego paradoksu, nieuchwytny a równocześnie skończony w typie, daje w melancholijnej piosence kończącej komedię, syntetyczne określenie ludzkiego życia. A jednak to przedziwnie smutne zakończenie komedii nikogo nie dziwi, jest zrozumiałe i naturalne.

Tak się złożyło, że „Wieczór trzech króli“ w inscenizacji Br. Dąbrowskiego oglądam po raz trzeci. Wystawiony tuż przed wojną w Teatrze Wielkim we Lwowie, powtórzony w rok później na małej scenie Państwowego Polskiego Teatru Dramatycznego przy ul. Jagiellońskiej, zyskał sobie opinię przedstawienia dobrego, chociaż nie tak rewelacyjnego, jak niektórzy starają się to sugerować obecnie. Nie mógł zresztą być rewelacją, choćby z tego względu, że inscenizację tę znano już od paru lat. Nie tyle więc mówiło się o inscenizacji, ile przede wszystkim o wykonaniu aktorskim, naprawdę fenomenalnym. Ówczesne interpretacje Chudogęby (Mieczysława Węgrzyna) i Czkawki (Józefa Leliwa) należały do najlepszych w Polsce. Role kobiece obsadzone były trafnie (Wiola — Zarębińska, Oliwia — Skrzydłowska, Maria — Chaniecka) i każda posiadała właściwy, odrębny i oryginalny charakter. Ale nie chcę być gołosłowny, dlatego wymienię tych, którzy obecnie po paruletniej przerwie, grając te same role, a mianowicie: Surowa, Szymański, Woźniak, Kordowski stworzyli bez wątplenia najlepsze postacie sztuki, najtrafniej wyrazili Szekspira — poeetę, który chociaż materiałem dla fantazji czerpał ze źródeł stołecznej dworskiej cywilizacji swej epoki, nie omijał prostaków, dostosowując właśnie uboczną, rubaszną, realistyczną akcję do gustu najmniej oświeconego, jak się mawiało, gminu.

Idąc na premierę „Wieczoru trzech króli“, nie nastawiałem się na prymityw, na przeżywanie anegdoty czy „obrazkowej treści literackiej fabuły“, sądziłem, że odnajdę cząstkę estetycznego wruszenia, jakie dały mi dawniej oglądane przedstawienia „Snu nocy letniej“, „Burzy“, lub choćby „Wieczoru“ z przed sześciu lat, że odnajdę Szekspira. Niestety, dyr. Dąbrowski wystawił „Wieczór trzech króli“ z pamięcią o wszechwładnej „kasie“, dał mu wspaniałą, chociaż jednolitą stylowo oprawę dekoracyjną, kostiumową i mu-

zyczną i jakkolwiek część krytyki uznała inscenizację za „bajkową“, ja nazwałbym ją raczej inscenizacją „operetkową“. Naprawdę, nie byłem przygotowany na wysunięcie tak bezapelacyjnie a zarazem niekonsekwentnie na plan pierwszy akcji dodatkowej z nielitościwą degradacją głównej. Niekonsekwencja tkwi w pominięciu osiowej postaci tej akcji, Malwolia, stanowiącego źródła kapitalnych sytuacji, któremu pozwolono opowiedzieć zaledwie połowę swych przezabawnych dzieł. Nie chodziło nawet o jakąś specjalną koncepcję inscenizacyjną, ale poprostu o efekt.

Inszenizację Szekspira należy zawsze zaczynać od sumiennego opracowania literackiego, a w omawianym wypadku dyr. Dąbrowski ograniczył się do zupełnie mechanicznego skracania. Bo jakże inaczej to nazwać, jeśli pozwala się w rozwiązaniu sztuki powiedzieć Błaznowi połowę zdania: „I ja też byłem aktorem w tej komedii“, i położyć kropkę, gdy całość brzmi: „I ja też byłem aktorem w tej komedii, niejakim księdzem Topasem“. Rzecz jasna, że przy wycięciu sceny, w której Błazen udaje księdza Topasa sens traci całe zdanie nie tylko jego druga część.

Najważniejszym bodajże zastrzeżeniem, jakie mam w stosunku do reżyserii, jest niewłaściwe rozdzienie niektórych scen. Szekspir zachowuje doskonałą proporcję między dialogami i fabułą. Np. uwagi refleksyjno-filozoficzne, tych, którzy je wypowiadają, swobodnie wylaniają się z danej sytuacji, bez przeciążania i zwalniania tempa scen. Tymczasem płasy i muzyka omawianej premiery wyraźnie przeladowują i opóźniają bieg akcji, dochodząc w scenie pojedynku i niepotrzebnie przelamanej, końcowej piosence błazna do rozmiarów absurdałnych dłużyń, tak łatwych do uniknięcia. To co mówię o braku jednolitej koncepcji inscenizacyjnego stylu potwierdza pierwsza zarządź scena, w której patos fantastycznej treści absolutnie nie harmonizuje z realistycznym tłem, na jaki ją rzucono. I toż samo pomieszanie występuje w późniejszych scenach realistycznej akcji „kuchennej“, odrealnionej sytuacjami „jak z bajki“, rozplasnymi do niemożliwości i bez potrzeby rozdętymi.

Widać, że reżyser nie chciał się rozstać z żadnym ze swoich pomysłów (zresztą często dobrych), nie poprzestął na oszczędnym ich dozowaniu. W rezultacie zbyt mocno akcentowane lub powtarzane musiały tracić na efektywności i wartości.

Błędy tego samego gatunku popełnił dekorator i projektodawca kostiumów Stanisław Jarocki. Rozwiązanie dekoracyjne bardzo szcześliwe w samym pomysle, nie utrzymało jednolitej linii stylu w ostatecznej realizacji. Połączenie zmiany dekoracji na oczach widzów z kotarami i czystym realizmem oprawy niektórych scen (I, 1), nie tworzyło czystej formy konstruktywnej i malarskiej. To samo dotyczy nowiutkich i bardzo pięknych, ale

wziętych z rozmaitych epok kostiumów (zwłaszcza makrycja głowy).

Stronie muzycznej, tak ważnej u Szekspira, należałoby poświęcić osobny rozdział — nie ma na to miejsca w krótkim omówieniu. Jeśli chodzi o opracowanie muzyczne Witolda Krzemińskiego, mogłoby być bez zarzutu, gdyby nie owa nieszczęśliwa wstawka „Pije Kuba do Jakóba“. Do kompletu brakowało jeszcze „Przeziębaczki“ (pod partię Antonia) i „Umarł Maciek“ (pod Chudogębę) a byłaby zabawa „na całego“. Mieliśmy ją zresztą, podziwiając niezłe ułożonego i śmiesznie odtańczonego... gawota. Skąd gawot, panie do Szekspira?

Wymieniłem powody, które sprawiły, że wspaniała komedia Williama Szekspira wyszła z reżyserkiej operacji dyr. Dąbrowskiego konstrukcyjnie rozbita, o sfalshowanych proporcjach, że dała nieprawdziwy obraz sztuki szekspirowskiej, największej sztuki dramatycznej wszystkich czasów.

Zespół aktorski, grający „Wieczór trzech króli“ starał się z zadania wywiązać i na ogół udało się to prawie wszystkim. Wprawdzie nie zgodzę się z nieodpowiedzialnym zdaniem niektórych recenzentów, że były same „kreacje“, ale jeśli już jesteśmy przy tym tak bardzo nadużywanym terminie, sądzę, że można nim obdarzyć Tadeusza Surowę odtwarzającego rolę Błazna. Doskonale zrozumiany i wystudiowany sposób wypowiadania uwag refleksyjnych i gnomicznych, harmonijna lekkość i naturalność całej sylwetki, miła interpretacja piosenek — wszystko to złożyło się na postać oryginalną, nową, nie często na scenie spotykaną.

Ciekawą i odrębną Wiolę zaprezentowała Teresa Suchecka. Odnaczając się liryzmem i dużą swobodą, potwierdzając bogatą skalę swego talentu. Na bardzo pozytywną wzamianę zasługuje Zofia Więziówna (Maria). Ludwika Castori posiada odpowiednie do roli Oliwii warunki zewnętrzne, jednakże włożyła w nią za mało szczerego uczucia. Wiele poetyckich momentów zatracił również Roman Hierowski (Orsino), w przeciwieństwie do Tadeusza Woźniaka (Sebastian), który doskonale odczuł i wyraził piękno szekspirowskiego wiersza. Do najlepszych w sztuce wypadła jeszcze zaliczyć Alfreda Szymańskiego, grającego Antonia i Jerzego Kordowskiego w roli Fabiana. Z niejakim żalem ujmemy tym razem pochwałę Tadeuszowi Kondratowi, który chociaż wy dobył z postaci Chudogęby wiele komizmu, nie wzbogacił jej własną inwencją. Tobiasz Czkawka w interpretacji Aleksandra Bardiniego, przypominał raczej przebranego Zagłobę (ale bez jego dowcipu) niż Falstaffa, Szkoła jednak, że roli tej nie grał Józef Leliwa.

Tyle o przedstawieniu, uznanym przez „widownię“ za najlepsze w dwu ostatnich sezonach Teatru Śląskiego. „De gustibus...“ itd. **Bogdan Butryńczuk**

Książka Ziem Odzyskanych

Stanisław Srokowski: Prusy Wschodnie. Studium geograficzne, gospodarcze i społeczne. Gdańsk—Bydgoszcz—Toruń 1945. Stron 321. Wydawnictwa Instytutu Baltyckiego.

W ramach wznowionej działalności wydawniczej zainicjowanego dla spraw morskich i Pomorza Instytutu Baltyckiego, na pierwszy plan wysuwa się powyższe studium, napisane przez autora kilkunastu większych rozpraw na tematy wschodniopruskie, niestrudzonego krzewiciela znajomości tej ziemi w społeczeństwie polskim. Ostatnią pracę prof. Srokowskiego należy powitać szczególnie gorąco, jako pierwszą większą monografię, obrazującą jeden z głównych regionów Ziemi Odzyskanych. Autor zastrzegł się w przedmowie, że książka nie ma być podręcznikiem, ani nie rości pretensji do wyczerpania przedmiotu, jednakże należy stwierdzić, że udało mu się znakomicie przedstawić wszystko to, co może się przyczynić do zrozumienia ducha tego kraju i warunków bytowania na tej tak bliskiej, a dla większości Polaków tak egzotycznej ziemi.

Po opisanju całej struktury fizycznej kraju, jego form powierzchni, rzek, jezior, moczarów, lasów i klimatu, autor przechodzi do nakreślenia zarysu rozwoju zaludnienia Prus Wschodnich, kończąc opisem struktury demograficznej i obszernej charakterystyką stosunków narodowościowych. Bardzo cenny jest rozdział, opisujący pamiętki polskie na tej ziemi, temat skwapliwie pomijany we wszystkich źródłach niemieckich. Dalsza część książki zawiera charakterystykę gospodarczą z szczególnym uwzględnieniem rolnictwa oraz stosunków komunikacyjnych. Po niej następuje omówienie położenia Prus Wschodnich w Europie, obejmujące opis granic i obszerne ujęcie problemów geopolitycznych. Książkę zamykają przypisy, obfity wykaz literatury, polsko-niemieckie zestawienie nazw miejscowych i skrócony wykaz. Jedyny brak, jaki może się nasuwać przy czytaniu książki, to słabe uwzględnienie ostatniego niemieckiego spisu ludności z r. 1939 (autor opiera się raczej na starszym spisie z r. 1933) oraz nie uwzględnienie spisu rolnego i zawodowego z tegoż roku. Ponieważ jednak wyniki tych spisów były trudno dostępne na terenie polskim, dotarcie do nich mogło być dla autora prawie niewykonalne.

Nie tylko doskonale opanowanie przedmiotu, ale również żywy, zajmujący styl książki sprawia, że

można ją nie tylko bez znużenia czytać, ale wprost jednym tchem pochłaniać. Obfity materiał kartograficzny przyczynia się również do podniesienia wartości dzieła. Należałoby żywić, aby pozostałe części Ziem Odzyskanych, a szczególnie Śląsk i Pomorze zachodnie, doczekały się jaknajwcześniej równie obszernych i zajmujących opracowań. (aw)

Dr Maria Kielczewska — Dr Andrzej Grodek: Odra — Nisa, najlepsza granica Polski. Poznań — Warszawa 1945. Stron 60 i mapka. Prace Instytutu Zachodniego nr 1.

Rozpowszechniona już w dwóch wydaniach przez Instytut Zachodni broszura, opracowana wspólnym wysiłkiem geografki i ekonomisty, jest bardzo pożytecznym wprowadzeniem w problematykę polskich ziem zachodnich. Autorzy wykazują, że cofnięcie się Polski na wschód od linii Odry musiało prowadzić Niemcy do zaborej polityki, której ostatecznym celem miało być całkowite zlikwidowanie Państwa Polskiego. Jasno została przedstawiona rola bariery nadbaltyckiej Pomorza i Prus Wschodnich oraz Klina Śląskiego w niemieckiej polityce okrążenia Polski i Czech, przy czym wydatniło się znaczenie linii Odry i Nysy Łużyckiej, jako jedynej korzystnej dla Polski granicy z Niemcami.

Wnikliwa analiza geograficzno-historyczna kraju nadodrzańskich wykazuje czytelnikowi ich łączność z resztą ziem polskich, a pozwalające dane z dawniejszych i ostatnich czasów pozwalają sprowadzić do właściwej miary przesadę w społeczeństwie polskim obrażenie o stopniu złemienia naszych ziem zachodnich i zatraty ich dawnego słowiańskiego charakteru.

Druga część broszury przedstawia rolę Ziemi Odzyskanych w gospodarce niemieckiej, trudności gospodarcze i ludnościowe, jakie wynikały z włączenia tych ziem w obszar Niemiec, a odciecia od naturalnego zaplecza ziem polskich. Wreszcie zakończenie przedstawia rolę, jaką te ziemie mogą i powinny spełnić w organizmie Państwa Polskiego.

Aczkolwiek broszura nie może wyczerpać olbrzymiego kompleksu zagadnień, jakie się łączą z odzyskaniem granicy na linii Odry i Nysy, to jednak przyczyniła się do rozpowszechnienia znajomości tego faktu, że Pomorze i Śląsk w rękach niemieckich, to śmiertelne zagrożenie istnienia Państwa Polskiego.

Pewna również rozszerzyć przekonanie, że granica na Odrze i Nysie, to nie kwestia ideologii światopoglądowej czy doktryny politycznej, lecz jeden z kanonów polskiej racji stanu, w uznaniu którego cały naród polski musi być zgodny.

Przegląd Zachodni — Miesięcznik. Styczeń 1946. Rok II. Stron 104.

Wychodzący w Poznaniu nakładem Instytutu Zachodniego „Przegląd Zachodni“, redagowany przez komitet redakcyjny w osobach A. Klafkowskiego, K. Sosnowskiego, M. Sucheckiego i Z. Wojciechowskiego, jest doskonałym miesięcznikiem, spełniającym w należyty sposób swe zadanie, i to w odniesieniu zarówno do Ziemi Odzyskanych, jak i uwzględniającym te wszystkie przejawy, które w programie kulturalnym, gospodarczym i politycznym państwa polskiego, oraz we wszystkim, co stanowi jego żywe interesy i istotę, domagają się poprostu ujęcia, nasświetlenia i oceny. W artykule wstępnym, zatytułowanym „Historijom jako podstawa twórczości kulturalnej“ zajmując się Mieczysław Suchecki postawą jednostki wobec historii, wskazuje na konieczność czynności historycznej, na potrzebę „upowszechnienia w społeczeństwie poglądu na sens istoty swych dzieł i na swoją rolę w historii powszechniej“.

Artykuł Bożeny Stelmachowskiej p.t. „O styl i obyczaj rodziny na Ziemach Odzyskanych“ rzuca program oddziaływania etnografa, propagując ochronę wszystkiego, co jest przejawem kultury polskiej rozpatruje planową pracę repolonizacyjną i reslawizacyjną i daje wskazania praktyczne. Na temat „Ochrony pierwotnej przyrody na odzyskanych ziemiach zachodnich“ piszą A. Wodziecko i Z. Czuliński.

Szczególnie ciekawą pozycją jest praca Alfonsa Klafkowskiego o „Nowym państwie niemieckim w stadium organizacji“. Czający na nas obowiązek czynności każe nam do tej pracy, szczególnie obszernej i opartej na „zasadniczych wypowiedzeniach okupantów Niemiec, oraz na wypowiedziach Niemców“ odnieść się ze specjalną uwagą i ze szczególnym pietyzmem. „Problem niemiecki w zwierciadle publicystyki francuskiej“ omawia Aleksander Rogalski; o badaniach naukowych wobec koncepcji chwili pisze Kazimierz Kolanzyk.

Dopełnieniem całości są „Materiały“, „Korespondencje“ oraz „Oceny i omówienia.“ (aw.)

Glossy i notatki

LIST KUBISA ROMUALDA

W „Głosie Prądnika”, który na tym miejscu cytujemy już po raz trzeci, ukazał się list Opolanina, działacza narodowego w Niemczech, Romualda Kubisa. Ponieważ nie udało nam się rozpoznać w prasie polskiej dyskusji nad programem kulturalnym dla Ziemi Odzyskanych, notujemy przynajmniej te wszystkie uwagi, które program ten pomagają nam w szczególności określić a niewątpliwie pomagają również zrealizować. List Romualda Kubisa jest pod tym względem nie do pominięcia.

„Pierwszy warunek — pisze Kubis — to jest oświata polska. Urządzącej bezpartijnie odczyty z historii Polski, dalej w każdej gromadzie założyciel czytelnicy i wypożyczalnia książek za minimalną opłatą”. Kubis zaleca szkolne przedstawienia teatralne, polecając, by dochoł z nich przeznaczony na kupno biblioteki szkolnej. Obawiamy się, że niewielki by to efekt przyniosło. Natomiast należałoby grubo opodatkować na ten cel bywalców i bufety karnawałowych zabaw, których największą ilość urządził Glucholazy. Warto nad tym pomyśleć w okresie powielkanocnym.

„Zadane weryfikacje — oto dalsze słowa Kubisa — czy inne papiery nie potrafią tego dokonać, co celowa oświata. Drugim warunkiem będzie usunięcie z administracji względnie z milicji tych, od których miejscowej ludności została wyrządzona długo niezapomniana krzywda w czasie początkowej organizacji władzy na Śląsku”. Kubis potwierdza tragiczną opinię, uważając z tych powodów właśnie Polaków za intruzów na Opolszczyźnie.

Te same uwagi odnieść można do wszystkich innych okęgów w Ziemiach Odzyskanych, zamieszkałych przez rodzinne Polactwo. (wisz)

PRZED DZIESIECIU LATY

Przed dziesięciu laty Bogdan Suchodolski w swej „Polityce kulturalno-oświatowej w Polsce współczesnej” tak pisał: „... Od zarania naszej niepodległości zachodząca jaskrawa niewspółmierność między troską o kulturalną elitę wielkomięską a działaniem organizacyjnym w zakresie upowszechnienia kultury. Od tych najdawniejszych lat nasza polityka kulturalna przeważnie kierowana była jednostronną troską o „szczyty kulturalne” i reprezentowała fałszywy aristokratyzm... Od tego czasu zmieniły się rządy, ale nienaruszony pozostał ten aristokratyczny styl polityki kulturalnej. Gdybyśmy porównali sumy, jakie idą na popieranie kultury w miastach z sumami, z których korzysta wieś i małe osiedle wiejskie, byłoby przerażenie ich dysproporcją... Najgorsza sztuka, wystawiana w stołecznych teatrach ku rozrywce zamoznego pólswiatka, wydaje się nam ważnym czynikiem kulturalnym, ale samorodny teatr ludowy przedstawia się nam wciąż jeszcze jako cokolwiek zbyt techniczna zabawa chłopów... Pragniemy wyraźnie stwierdzić, iż bardzo wiele z tego, co się reklamuje jako ważna sprawa kulturalna narodu i co dlatego rości sobie prawo do opieki państwowej i otrzymuje ją jest właściwie tylko kulturalnym luksem albo snobizmem elity, albo zgola rzeczą bezwartościową ze stanowiska całości. Dlatego pilnym i ważnym zadaniem właściwych czynników musi być dokładne podanie rewizji listy instytucji, działań i zamierzeń, obciążających budżet, oraz tych, które potrzebują poparcia”.

Pisane to było przed dziesięciu laty pod adresem Polski sanacyjno-faszystowskiej... Wydaje się, niestety, że i dziś jest to wszystko jeszcze aktualne. (Zby)

JASNE SŁOWA WIARY

W drugim numerze „Odnowy” — tygodnika Stronnictwa Pracy znana publicystka katolicka Irena Panenkowa w pełnych szczerzej wiary słowach pisze o nurcie nowoczesnej myśli polskiej, który skupia się na podłożu chrześcijańskim i demokratycznym. „Słły rzeczy nurt ten wiązać się będzie z powszechnym dzis w Europie prądem wielkiej chrześcijańskiej reformy obyczajowej i socjalnej. To dzieło reformy opiera się na założeniach etyki chrześcijańskiej, w szczególności zaś na wskazaniach encyklik socjalnych obu wielkich papieży Leona XIII i Piusa XI. Reforma ta musi być smiala, gruntowna i konsekwentna, zawsze jednak w granicach dogmatyki i obyczajowości chrześcijańskiej, dla katolików — katolickiej. Tylko przy zachowaniu tego mocnego pionu, tych ram niezłomnych, można się utrzymać od wszelkich poważniejszych wstrząsów i rozłamów w solidarnym dążeniu do jasno wytkniętego celu. Wierymy, że na tej drodze i na tej drodze jedynie, dojdziemy do odbudowy równowagi i harmonii wewnętrznej człowieka i społeczeństwa ludzkiego. W szczególności Europy. Europa nie po raz pierwszy w dziejach pogrążona jest dzisiaj w upadku. Dźwigała się z niego przed tym, dźwignął się musi i teraz... Ośrodek inicjatywy twórczej, zatem przewagi duchowej pozostał na zachodzie. I przez to zachód zwyciężył, Europa jak dotąd była, tak długo jeszcze pozostać winna ośrodkiem inicjatywy moralnej umysłowej, kulturalnej. Ruch chrześcijański — społeczny w najbliższym ujęciu do tego właśnie celu prowadzi”. (Zby)

KRÓTKIE SPIĘCIA

„Odrodzenie” powoli staje się omnibusem, do którego można wcaisnąć wszystko, co przyniesie poczta do redakcji. Ta przypadkowość w konstruowaniu numerów jest coraz bardziej widoczna. Brak długodystansowego planowania nie pozwala „Odrodzeniu” zastąpić przedwojennych „Wiadomości Literackich”. Ogłaszane ostatnio pokłosie konkursu na nowelę, nie wykazało dotąd ani jednego naprawdę wyróżniającego się utworu. Raczej są to dość poprawne obrázky z czasu okupacji, nawet nie odpowiadające gatunkowi literackiemu określanemu nowelą. Natomiast, co musimy podkreślić z zadowoleniem, choć na ogół literaci nie mogą „nawiązać bliższego kontaktu” z dokonywującymi się przemianami socjalnymi, mieliśmy sposobność się poznać dzięki świetnym reportażom Franciszka Gila, dzieło i skutki reformy rolnej wśród biedoty wsiowej. Gil żarliwie i świeżo opowiada nam o dokonującej się rewolucji. Z prostych i pełnych prawdy jego wypowiedzi, więcej dowiadujemy się o wielkiej przemianie, niż z oficjalnych sprawozdań.

Uderzające jest, że zarówno w „Odrodzeniu”, jak i innych tygodnikach literackich nie spotyka się dobrej poezji, przeważają poprawne wiersze, robione na różną modłę i rozsyłane zgodnie z przypuszczalnym gustem redaktora. Wygląda na to, że młodym brakuje rozmachu, jakiegoś burzliwej pasji, któryby ukazała nowatorską ścieżkę. Zdawałoby się mogło, że ze śmiercią poetów warszawskiej grupy „Sztuka i Naród”, tak ostatnio reklamowanej nie bez korzyści osobistych przez niedobitków, wypało się głównie ognisko młodej poezji.

W nr 12 „Odrodzenia” interesujące śledztwo w sprawie imperialnej polityki Watykanu przeprowadza osobisty wróg Papieża ob. J. A. Szczepański. Zbiera on raz jeszcze stare i wielokrotnie przygważdżane zarzuty o „czarnej międzynarodowce”. Przypuszczam, że jak to Papież przeczyta, to się bardzo zmartwi.

Dobra jest proza K. Brandysa o pierwszych dniach pamiętnego września, ale szkoda, że to tylko fragment. Porównując to co pisze Brandys w „Przekroju” i w „Odrodzeniu”, przekonamy się łatwo, że cała jego publicystyka jest raczej pomyłką i nie wiem co nim kieruje, względy materialne, czy żarliwość polityczna, ale ten dobry prozaik powinien dać nam jak najprędzej zapowiadaną powieść o Warszawie, a nie rozpraszać się w drobiazgałach dziennikarskich.

Miedzioryty Pankiewicza i reprodukcje rysunków Kramsztyka dopełniają graficznej strony „Odrodzenia”.

Byłem zaskoczony znajdując w ostatniej „Kuzni” nazwiska J. Zagórskiego i J. Iwaszkiewicza. Przecież Zagórski jest stałym współpracownikiem „Tygodnika Powszechnego”. Po przykrzej odprawie z jaką się spotkał Piechal, proponując swą współpracę „Kuzni”, zamieszczenie J. Iwaszkiewicza i Zagórskiego jeśli nie przeciwników marksizmu, to co najmniej obojętnych, staje się otwarcie furtyki co ciasne podwórko łódzkie. Czyżby tego wymagała sytuacja (ekonomiczna pisma)? Czy już nie lekają się, że obcy element może zamącić jednolitość laboratoryjnie poddawanego zespołu?

Fragment pamiętnika Iwaszkiewicza demaskuje potrzebę patetycznego gestu w warszawskiej młodzieży literackiej w czasie okupacji. Cała ta zbędna sprawa składania wieńca u pomnika Kopernika przez Bojarskiego i kolegów, kosztowała życie tego zdolnego poety.

W „Dzis i Jutro” W. Bieńkowski zamieszcza „Katalożym głodnych” katolicki artykuł, nadający to samo piętno całemu piśmu. Ale jest w „Dzis i Jutro” nuta podważająca fałszem, która nakazuje ostrożność z takim katolicyzmem. Nie będę cytował, bo znowu powieją że denuncjacje. Niestety pomiędzy pogrobówców nacjonalizmu wnieśli się prawdziwi katolicy mając ostrość widzenia. Katolicyzm w tym tygodniku jest wyraźnie sztyłem politycznym, a za nim tkwią nadal grzechy ubóstwionego narodu i brutalnego kultu siły.

Ostatni „Tygodnik Warszawski” jest rzeczywiście wielkopostny. W poprzednim numerze Kisielski zamieścił artykuł przeciwko sztucznemu i prostackiemu podziałowi społeczeństwa na dwa fronty i wykazywał nonsensowność przeżywania wszystkiego co nie jest ortodoksyjnie czerwone — czarną reakcją.

Jubileuszowy nr „Szpilek” był najsmutniejszym numerem w historii tego tygodnika. Cały był poświęcony samoadorującym się grupie redakcyjnej. „Szpilek” sądownie powinno być zabronione używanie podtytułu — tygodnik satyryczny. Nie nas nie obchodziły rzeczywiście biografie „znakomitych satyryków”, a tym bardziej urojone. Monopolityczna pozycja „Szpilek” doprowadza do zupełnego zaniku autokrytycyzmu. A przecież jeżeli już mamy szukać wzorów — na całą Rosję wystarcza jeden satyryczny „Krokodyl”, ale panowie, zobaczcie jak on jest zrobiony!

Zagórski, jak już wyżej wspominałem, występuje w „Tygodniku Powszechnym” w obronie pokrzywdzonego dziecka. Rzeczywiście, demokracja nasza, przeprowadzając szereg radykalnych reform, zapomniała o dziecku, nawet przy wymianie 500-złotówek (młynarek) na zwane wówczas „jubelskie”, nie przewidziała, że dzieci nie mają kart rozpoznawczych, przez co pokrzywdzono rodziny obciążone licznymi potomstwem. Gdy Anglicy i Amerykanie rozciągają opiekę nad dziećmi niemieckimi, chyba byłoby najwzyszy czas, byśmy sami pomyśleli o naszych.

W nr 12 znakomity antropolog prof. Czekanowski raz jeszcze wykazuje nonsensowność roszczeń rasy nordyckiej i jej predestynacji do panowania nad Europą. Wykazuje dynamizm biologiczny „młodych” narodów słowiańskich.

Cztery dobre wiersze J. Baranowicza, rzadko u dzielającego się poety, sprawiają czytelnikowi prawdziwą przyjemność; twórczość poetki Baranowicza została omówiona w jednym z ostatnich numerów tygodnika lit. „Więść”. Tam też zamieszczono fragment jego prozy. Jest to uderzające, że poza rymem, na którym hałasują efemeryczne wielkości, kryje się wielu dobrych pisarzy i ich utwory wyławiane niespodziewanie w prasie stanowią prawdziwy miernik niezafalszowanych wartości literackich. Aga.

„Jej pierwszy bal” (Kino „Casino”) — wytworny bilet wizytowy Duviviera, typowy aż do końców paznokci film francuski, ze wszystkimi jego zaletami, bo wad prawie niema. Wszystko w nim efektowne, tym efektem lekkim, improwizowanym. Niemal nie widać roboty, niemal nie czuć pracy. A ileż jej wiozono w ten ożywiony „carnet de bal”. Opracowanie oszczędzonego gestu aktorskiego, dyskretny patos spotkań z dawnymi adoratorami, bez melodramatu, powtarzam: bez melodramatu! — Konfrontacja wspomnienia z rzeczywistością, ileż razy wstrząsająca aż do bólu — zawsze w porę rozładowana ubocznym efektem czy drugoplanową postacią (stara służąca obłąkana matka, epizod z lampą rozbitą przez chłopca z chóru, pełne charmu pożegnanie aresztowanego Jo).

Druga rzecz, to technika filmu. Niestety, stara kopia przeszkadza w konsekwentnym śledzeniu tej strony obrazu, będącej bardzo często główną legitymacją wartości filmu. Rwie się on co chwila, w najmniej odpowiednich momentach — zupełnie jak rozmowa z pretensjonalną kobietą. A szkoda, bo przepadają niektóre prześliczne szczegóły jak n. p. fantastyczne lekarstwo, scenie zresztą najlepszej w całym filmie obok mesamowitego obrazka z obłąkaną matką. Warto zobaczyć, jak rozmawiają z gościem patrzy ona ciągle w bok, mówi gdzieś ku ścianom, nieobecna, czujna na jakies pozaswiatowe sygnały. Czeka umarłego syna.

Ala opowiedzieć tego nie można. Zresztą nie trzeba — byłoby to nieprzystojnością w stosunku do reżyserkiej poezji Duviviera’a.

Poza tym czysty obrazek fotograficzny. Każdy obraz przejrzysty aż do nagosci. Trochę to nawet nudzi. Zresztą w filmie tym człowiecze pasje czy rezygnacje wypierają krajobraz z ekranu. Słusznie, bo sceny krajobrazowe są tu bodaj najslabsze. Film pod koniec wyraźnie obniża lot, trudno się zresztą dziwić: po takim nasyceniu wnętrza...

Dla ścisłości dodać należy, że okaleczono „Jej pierwszy bal” kilkoma skrótami. Najdotkliwiej na początku i końcu.

Jeszcze słów parę o drugim filmie francuskim. „Dni szczęścia” (Kino „Stożce”), to bezpretensjonalny obrazek, wycinek czasu poświęconego przez ludzi — normalnej, ludzkiej tragedii we troje. Niepotrzebne kolory rzekomego „życia studentów paryskiej”, nie pogłębiają ani o włos perspektywy tej tragedii lecz oczywiscie ją spłycają. — Simone Simon bardzo spokojnie odsuwa te niepotrzebne akcesoria tym samym gestem, którym odgarnia włosy. Dla niej ekran jest czwartą, nieprzejrzystą ścianą pokoju czyli — nie istnieje. Simone Simon mimo wszelkich a nieszczęśliwych usiłowań reżysera — nie gra. Pozostaje tylko przez cały czas kobietą — niespokojnym, czujnym, dziwacznym stworzeniem. Filmowa szminka nie może zakryć tej odrobiny smutku ukrytej w kąciakach warg. Simone nigdy nie będzie wesola. Naprawdę bawi się na pikniku studenckim i bez celu biegnie w „happy-endzie” przez rozległą łąkę w ramiona ukochanego — jakoby rozemnianą. Nie uwierzmy jej nigdy (przypomniała się dziwnie Betty Davis — zobaczcie: ta sama historia).

Reżyser poza tym nie przeszkadzał. Partnerzy Simone’y — dobrze dobrani. A to już wiele.

Co robią Niemcy

Bitwę o kalorie wygrał Niemcy w całej rozciągłości. Prowadzili ją w prasie radio, znaleźli wielu sprzymierzeńców w osobach współczesnych wożarów anglosaskich. Z ogłoszonej w pismach niemieckich tabeli przydziałów żywnościowych wynika, że największą ilość kalorii dziennie mają górnicy — 2964, potem robotnicy ciężko pracujący — 2264, wreszcie kobiety w ciąży i matki karmiące — 2139. W dalszej kolejności następują dzieci od 10 do 18 lat (1448 kal.), od 6 do 10 lat (1348 kal.), od 3 do 6 lat (1182 kal.), oraz dzieci do 3 lat (1041 kal.). Średnia wynosi od 1900 kal. w strefie amerykańskiej do 1700 w brytyjskiej i sowieckiej strefie. A teraz dla porównania trochę cyfr. Jak to z tymi kaloriami wygląda w innych państwach Europy. Obliczenia dokonał angielski „Manchester Guardian”. Dla Polski obliczono przeciętną 1500 kalorii, nie uwzględniając oczywiście tych, którzy swe calodienne potrzeby żywnościowe zaspokoili mogą w wolnym handlu. W Danii i Szwecji spożywa się 2800 kal., w Wielkiej Brytanii 2850 kal., w Norwegii 2500. W Belgii pod koniec ub. r. 2300, miasta francuskie 2000 albo i mniej. W Holandii nie jest tak źle, bo spożywa się tu dziennie 2500 kalorii, w Austrii we Wiedniu przydziały nie są wyższe od 1600 do 1700 kalorii (1600 stanowi według naukowej tabeli UNRRY minimum, gwarantujące zdrowie). W Czechosłowacji przydziały w miastach dostarczają dziennie 1700—1800 kalorii, w Grecji, której prokrowano głód, dodatkowe wielkie dostawy UNRRY spowodowały podniesienie się cyfry spożywanych codziennie kalorii do 1700. Najniższe liczbę stwierdzono w niektórych częściach Jugosławii, i tak przydziały w Bosni nie były wyższe od 1200 kal. Wszystkie te cyfry nie były cytowane w prasie niemieckiej, która poza tym tyle uwagi poświęca sytuacji gospodarczej Europy. Znając i rozważając je, nie mieliby Niemcy powodów do skarg i narzekania na głodzenie ich przez aliantów. Natomiast „Das Volk” nie ośmielała zaznaczyć, że alianci czynią starania, by ilość kalorii przeciętnej niezatrudnionej Niemca podnieść do 2000. Przesłaliśmy się temu wszystkiemu dziwić, pozostały tylko smętne refleksje.

Nagonka niemiecka przeciwko Słowianom (boją się jedynie Rosjan i dlatego im schlebują) ruszyła znowu z podwójną siłą. Nas powinno przede wszystkim zainteresować, co się dzieje na naszej zachodniej granicy. Prasa polska w ostatnich miesiącach żywo i sympatycznie wspomina o Łużyczanach. Dowiedzmy się nareszcie, co o tym całym ruchu lużyckim myślą Niemcy. Dziennikarz brytyjski Lindley Fraser opisuje swą podróż po Niemczech na łamach „Tägliche Rundschau” (Nr. 46), wydawanej przez władze sowieckie w Berlinie, i wspomina przystym o Łużyczanach. Fraser pisze: „Zanim pojechalismy do strefy rosyjskiej, wysłaliśmy wieści o planach nadania ludności mówiącej po wendyjsku pewnego rodzaju politycznej samodzielnosci. Pogłoska ta jest według mego zdania zupełnie bezpodstawa. Jak się dowiedzieliśmy, krok taki nie jest ani przewidziany ani też nikt go sobie nie życzy — czy to alianci czy też Niemcy — z małym wyjątkiem garstki wendyjskich fanatyków.” Widzimy, skąd czerpał swoje uwagi o „Wendach” dziennikarz amerykański. Polityka niemiecka strzeże zazdrośnie nacjonalistycznej zasady Niemiec, powtarzając te same oszczerstwa i plotki o Słowianach jakże powtarzała długie lata przed wojną i w czasie wojny. Opinia Fräsera, wydrunkowana w oficjalnym piśmie władzy okupacyjnej sowieckiej, pozwala z trwogą patrzeć w przyszłość nieszczęśliwych Łużyczan i nie bardzo się chce wierzyć w obliczu tego wszystkiego, by dr Marta Cychowa zdolała uzyskać jakies polityczne koncesje w Londynie dla swego narodu. Tym więcej, że okupacyjne władze sowieckie, w których zasięgu leżą Łużyce, nie wystąpiły w odniesieniu do tego słowiańskiego narodu dotychczas z żadnym własnym planem politycznym a jak donoszą z Łużyc, Niemcy wykorzystują tam partię komunistyczną i socjaldemokratyczną dla przeprowadzenia akcji antylużyckiej.

Patrzymy na ekran

Kino „Światowid” wyświetla film produkcji sowieckiej „Dwaj żołnierze”. Film ten jest apoteozą najpiękniejszej chyba przyjaźni, przyjaźni frontowej. W dynamicznych i łunach obrony Leningradu rodzi się ta przyjaźń, szorstka i męska w każdym calu, jak szorstki jest brzeg szynelu, którym jeden z przyjaciół okrywa spiącego na deszczu towarzysza. Męska i jakże nieporadna wobec lirycznego oroku kobiecych oczu, wpatrzonych w przybysza z frontu. Jest i Cyranowski gest w listkach frontowych, pisanych przez drugiego z nich w imieniu przyjaciela, który miłość umie tylko przeżyć ale mówić ani tym bardziej pisać do niej nie potrafi. Dużo szerszego nastroju w prostych scenkach muzycznych (z nich najlepsza — w okopach druga — dużo słabsza — na szóstym piętrze leningradzkiej kamienicy). Najwybitniejszy z aktorów — wojna, gra wstrząsająco. Scena z atakiem czelgoń niemieckich mówi o tym najlepiej. Atakiem uzupełniają mile i bezpretensjonalne elementy humorystyczne. Humor to uceciwy i z pierwszej ręki.

Ciekawy jest również obraz wyświetlany w kinie „Rialto” — „Srebrna Flota” — to film najnowszej produkcji angielskiej, przedstawiający interesujący problem holenderskiego właściciela stoczni okrętowej, który zgłosił się do współpracy z Niemcami dla zorganizowania sabotażu. Interesującym jest w tym filmie chwyt reżyserki operujący rozwój akcji na kartkach pamiętnika bohatera, który w ten sposób dopuszcza widza do bezpośredniego niemal udziału w swej niebezpiecznej grze. Co prawda ten modny dzisiaj problem „wallenrodyzm” nie zawsze nas potrafi przekonać. Ale — podobno — cel święca środki. Mamy poza tym żal do reżysera i autora scenariusza V. Campbella, którego gestapowcy wyglądali, jak angielscy gentlemani a jedyna złośliwość na jaką się zdobył pod ich adresem, było wykazanie, że nie potrafili elegancko jeść makaronu. No cóż — Anglikom bliżej do Holandii niż do nas. Dowodem tego jest ten drugi z kolei w Katowicach film o podziemnej walce Holandii z Niemcami (przypominamy: Jeden z naszych samolotów zaginął). Polska też walczyła pod ziemią z Niemcami. A może nie wypadła o tym Anglii przypominać?

Jak już jesteśmy przy smutnym nastroju, to wspomnijmy i o filmie polskim „Złota Kurtyna” (Kino: „Zorza”). Można o nim powiedzieć jedno: jest to film z Bodo... Aleksander Baumgardten.

Do Przyjaciół »Odry«!

Z niniejszym numerem „ODRA” zaczyna wychodzić jako tygodnik. Prenumerata pisma wynosi miesięcznie 28 zł, kwartalnie 80 zł. Prosimy o wpłacanie prenumeraty na konto PKO III 4960.

Równocześnie przepraszamy wszystkich naszych prenumeratorów za dotychczasowe niedociągnięcia w dostawie pisma. — Prosimy o kierowanie wszystkich reklamacji do Administracji lub też wprost do Redakcji „ODRY”.

A teraz co innego. Mamy wycinek z prasy niemieckiej. „Neue Zeit” odważyła się na małą krytykę niemieckiej demokracji w użyciu codziennym, nie dotykając zresztą spraw o politycznym zasiegu. „Roi się od dyrektorów i przyrentów — pisze „Neue Zeit” — godność i wygląd Niemca podlega pewnym hierarchicznym zasadom. Zaczynają się one od sztywnego białego kołnierzyka a kończą się na blyszczących naramiennikach oficera, pomiędzy tym zaś porusza się cały tłum od sędziego aż do sekretarza podatkowego, przy czym na każdym stopniu pełno jest specjalnych odcieni.” Pismo niemieckie mówi o tym z usmiechem na twarzy ale ta widoczna na każdym kroku tęsknota do oficerskich szlif jest znamienita. I wychowujcie tu Niemców.

Rozkwit niemieckiej prasy zdumiewa każdego, kto przyjeżdża po raz pierwszy do Niemiec. Wielkie ilości dzienników w Berlinie i poza Berlinem o olbrzymich nakładach głoszą co rano i wieczór nowe Niemcy, wolę nowej jedności i sprawiedliwego pokoju, w którym Niemcy nie byli by krywdzeni itd. Prasa niemiecka od roku 1933 przeżywała okres swego powolnego upadku. Z 3000 dzienników przed objęciem władzy przez Hitlera zostały w przeddzien wybuchu wojny już tylko 2400. 1 października 1944 zaś i ta obfitość znikła, pozostało jedynie 977 gazet, z czego zaledwie 100/0 znajdowało się w rękach prywatnych, reszta była prasą partyjną. Dzis co dzień prawie władze okupacyjne udzielają nowej licencji na wydawanie pisma, ukazują się gazety u prywatnych wydawców, rozbudowana jest prasa partyjna, bogata prasa wydawana przez władze okupacyjne. Dość wspomnieć amerykańską „Die neue Zeit” na doskonałym satynowanym papierze, bogato ilustrowaną, z codziennym dodatkiem kulturalnym, w którym wyczyta można przekłady z najznakomitszych twórców literatury Zachodu, — kosztuje jedynie 20 fenigów. My, którzy jesteśmy tak dumni z wysokości nakładu „Odrodzenia”, winniśmy się dowiedzieć, że organ niemieckiego Kulturbundu „Der Aufbau”, bity w wrześniu ub. roku w ilości 45.000 egz. w styczniu br. osiągnął 120.000 egz. a w tej chwili zabiega o zezwolenie na bicie 400.000 egzemplarzy.

W niniejszym felietonie podamy dalsze uwagi o życiu teatralnym w Niemczech. Przegląd taki nasuwa równocześnie ciekawe spostrzeżenia co do ogólnej polityki kulturalnej w Niemczech i sporo także mówi o stosunkach aliantów do kwestii tzw. odbudowy Niemiec. Tym razem odwiedźmy teatry w Zytawie i Monachium.

Zytawa pierwszą imprezę artystyczną miała już 30 maja 1945. Złożył się na nią koncert utworów Bacha i Mozarta. Następnie wystawiono tu „Zemsta nietopera” Jana Straussa. Personel teatru liczy w tej chwili 250 osób i korzysta z specjalnych dodatkowych kartek żywnościowych. Do stycznia wystawiono 285 spektakli, które odwiedziło 141.892 osób. Opera wystawiła „Wesele Figara”, „Żydówkę”, „Fra Diavolo”, „Carmen”, „Verdię”, „Otello”, „Wolnego Strzelca”, Webera. Co dwa tygodnie wystawiano także nową operetkę. W próbach są Szekspira „Sen nocy letniej”, Moliera „Chory z uroniam” i Giraudoux „Wojna trojańska nie odjedzie się”. Teatr miejski w Zytawie otrzymał od Kulturbundu z Berlina ponad trzy tysiące stylowych kostiumów.

Barziej złożone jest życie teatralne Monachium. Sezon teatralny otwarto tu w ub. roku słynną sztuką Thorntona Wildera „Nasze miasto”. Molnar „Zabawa w zamku” spotkała się z niebywałym przyjęciem. Artystów wywoływano 33 razy przed kurtynę, scena tonęła dosłownie w kwiatkach, przy czym jak noszą monachijskie plotki większość kwiatów zakupił żołnierz aliancy, którzy zapuścili łożo z fraternizującymi się gołwiami Niemkami. W Nowym Monachijskim Teatrze dano dotychczas Marcela Acharda, eksperymentalną „Przeprawę” Suttona Vanesa, z nastrojami a la Borys Karloff. Pawła Claudela „Upokorzony ojciec” podobał się bardzo, bo stawiał odważnie problem sprawiedliwości, a Niemcy, którym pojęcie to było obce, dziś ze szczególną radością głosz je ale w stosunku do... siebie. Tutaj wskrzeszono również Klubunda satyrę towarzyską „XYZ”. Wreszcie monachijski Teatr Ludowy od kilku tygodni już przemawia wierszem Calderonowskim i pomimo, że mieści się w podłej sali na przedmieściu, ściąga liczne rzesze widzów. (Wisz)

Kursy informacyjne o Ziemiach Odzyskanych w Bytomiu i Olsztynie

W ciągu ostatnich miesięcy odbyły się z inicjatywy Ministerstwa Oświaty dwa dalsze (poprzednio w Olszynie koło Leszna) finansowane przez Ministerstwo kursy informacyjne o Ziemiach Odzyskanych, a mianowicie w Bytomiu dla Opolszczyzny (w czasie od 15. do 21. grudnia 1945 r.) i w Olsztynie dla Pomorza Wschodniego (w czasie od 19. do 25. lutego 1946 r.).

Pierwszy z kursów zorganizował — z inicjatywy i na propozycję Biura Ziemi Odzyskanych Ministerstwa Oświaty — Instytut Śląski w Katowicach w porozumieniu z Kuratorium Szkolnym Śląskim, drugi Kuratorium Okręgu Szkolnego Mazurskiego w porozumieniu z Instytutem Mazurskim w Olsztynie. Oba kursy przeznaczone były dla pracowników administracji szkolnej oraz dyrektorów szkół średnich wszelkich typów, a także innych pracowników oświatowych pracujących na Śląsku Opolskim względnie na Pomorzu Wschodnim. W kursach wzięło udział po kilkudziesięciu uczestników.

Program kursu bytomskiego szczegółowo podawała prasa śląska, nie będziemy go tu powtarzać.

Podobny był program kursu olsztyńskiego, z tą oczywiście różnicą, że inne było nastawienie regionalne tematów. Prelekcję wstępną pt. „Dowody wspólnoty kulturalnej Ziemi Odzyskanych” wygłosił prof. dr Józef Kostrzewski z Uniw. w Poznaniu. Prelegentami dalszych wykładów byli przeważnie miejscowi fachowcy, wśród których przeważały przedstawiciele Instytutu Mazurskiego i działacze mazurscy z okresu przedwojennego. Uczestnicy tego kursu poza wysłuchaniem wykładów i udziałem w ćwiczeniach seminarijnych zwiedzili zamek w Olsztynie oraz uniwersytet ludowy w Passymiu, gdzie przyglądali się m. in. przedstawieniu „Jutrznki mazurskiej” oraz wieczornicy mazurskiej, na którą się złożyły pieśni, deklamacje i bajki mazurskie; w ostatnim zaś dniu kursu byli na wieczornicy warmińskiej, gdzie mieli sposobność obserwować godną postawę i znaczne postępy młodzieży autochtonicznej w opanowaniu języka polskiego.

Dalsze tego typu kursy przewidziane są w Szczecinie (dla Pomorza Zachodniego), we Wrocławiu (dla Dolnego Śląska) i w Gdańsku. (nad)

Redaguje komitet. Redaktor naczelny: Wilhelm Szewczyk. Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 86a (II p.). Tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. Ogłoszenia przyjmują Sp. Wyd. „Czytelnik”, ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 42 zł. Druk: Drukarnia nr. 9, Sp. Wydawn. „Czytelnik”, Katowice, 3. Maja 12. Wydawca: Sp. Wydawnicza „Czytelnik” — Nr R 1676